Jestem facetem, który ma niewiele zmartwień. Do końca życia nie muszę przejmować się żarciem, szczelnością dachu, rachunkami za prąd, czystą pościelą, zakupem płynu do kibla i jeszcze kilkoma innymi rzeczami. Niestety nie osiągnąłem tego dzięki wielkiej wygranej, moje nazwisko nie widnieje na liście Forbesa, nie dostałem też spadku po wujku z USA. Prawda o Arkadii jest dużo prostsza, chociaż daleko jej do bajki.

W bajkach istnieją szczęśliwe zakończenia, w tej opowieści raczej ich zabraknie. Nie spodziewam się happy-endu, o czymś takim nauczyłem się nie marzyć. Dożywotki, bo tak swojsko nas tutaj nazywają, nie powinny myśleć o przyszłości. Śmierć za murem, co dość jasno określa nadruk na teczce osobowej, wydaje się sprawiedliwa zapłatą za to, co zrobiłem. Zabiłem człowieka i przestałem być człowiekiem. Chciałbym napisać, że popełniono straszną pomyłkę, że jestem niewinny bardziej niż dopiero ochrzczone niemowlę, że padłem właśnie ofiarą spisku bezlitosnego i pozbawionego serca prokuratora, lub chociaż pomówienia rzeczywistych sprawców. Tak zwykle tłumaczą się moi współplemieńcy. Niestety. Zarzut zabójstwa jest jak najbardziej prawdziwy, a ja jak najbardziej winny.

Dwadzieścia lat temu, kilka miesięcy po hucznie wyprawionej osiemnastce, dokonałem napadu. Nie byłem sam, moi towarzysze mieli również po osiemnaście wiosen i cel zdobycia łatwej gotówki. Easy money, jak powiedzieliby gangsterzy z Hollywood, miało mieścić się w firmie, w której pracowałem. Skarbca, dzięki któremu aspirowaliśmy do roli prawdziwych bandytów, strzegła niewiele starsza od nas dziewczyna. Żadna przeszkoda dla kogoś zdecydowanego na wszystko, jak się wówczas oceniliśmy. Po dwóch latach, gdy w ustach sędziego wybrzmiał wyrok dożywocia, nie było już we mnie takiej pewności, ale wtedy, w mroźne styczniowe popołudnie, schowałem do rękawa kij do baseballu, ten swoisty atrybut męskości nastolatka z bloku na Pradze i kilka kwadransów później przekonałem się, że granica pomiędzy dobrem i złem może stać się czymś umownym, błahym, niewidocznym. To co było i nadal jest widoczne to krew i życie tamtej dziewczyny, starszej o zaledwie trzy lata. Dziewczyny, która marzyła o przyszłości w wielkim mieście, chociaż samo miasto zdecydowało się dać jej zupełnie coś innego.

Ja dostałem dożywocie. Kodeks przewidywał jeszcze karę śmierci, ale nie wykonywano jej od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, a po siedmiu latach zastąpiono koniecznością spędzenia reszty życia za murami więzienia. Niektórzy uważają, że to bardziej humanitarne, chociaż wątpię, żeby mój sędzia akurat to miał na myśli. Wydawał się wręcz zmartwiony brakiem możliwości zawiązania nam na szyi stryczka. Zadowolił się przemową, w której nie zabrakło potrzeby wielu lat izolacji, głębokiego stopnia demoralizacji i paru łacińskich sentencji. Życie za życie, zakończył, a zgromadzeni ludzie nagrodzili go oklaskami.

Musiało minąć kilka lat, zanim przyznałem mu rację. Życie za życie stało się moją codziennością, czymś, z czym się budzę i z czym kładę się spać. Nie pozwolono mi o tym zapomnieć, system penitencjarny dołożył starań, abym nie łudził się możliwością wcześniejszego wyjścia. Niektórzy wprawdzie mamią mnie nadzieją, ale bez otrzymanej szansy nadzieja jest niczym wiersz, który czytasz na pustyni. Nie ma znaczenia, bo przechodząc przez więzienną bramę przestajesz być człowiekiem. Stajesz się zbiorem paragrafów, wyrokiem, popełnionym przestępstwem. Nie jesteś nikomu potrzebny, stanowisz tylko problem.

Pewnie ktoś zaraz mi zarzuci, że się nie zresocjalizowałem i… będzie miał rację. Nie zresocjalizowałem się, przynajmniej nie w ocenie sfinksów, które raz na pół roku dokonują tutaj stosownej oceny. Nie zresocjalizowałem się, jeżeli rozumie się przez to ponowne włączenie do społeczeństwa, bo przez dwadzieścia lat nie spotkałem w służbie więziennej zbyt wielu ludzi, dla których to zagadnienie stanowiłoby coś więcej niż garść martwych zapisów. Byłem głupim, pozbawionym uczuć gnojem, którego autorytetami był Jarosław Sokołowski, Andrzej Kolikowski, czy Henryk Niewiadomski, znani pod bardziej swojskimi pseudonimami „Masa", „Pershing", „Dziad". Wydawało mi się, że wejście w ich świat wymaga przekroczenia pewnych granic, a nieleczone kompleksy i pragnienie uznania rówieśników pchnęły mnie do zabicia tamtej dziewczyny. Nic więcej, nic mniej. Dzisiaj mam czterdzieści lat i jeżeli ktoś zapytałby mnie, czy chciałbym cofnąć czas i nie odbierać życia, odpowiedziałbym tylko w jeden sposób. Według mnie to wystarcza za ocenę resocjalizacji i tyle.

Rzecz w tym, że nie o sobie tutaj chciałbym napisać. Moja historia jest jedną z ponad czterystu, które obecnie odbywają karę dożywocia i ciężko byłoby w niej odnaleźć coś ciekawego. Przynależność do masy anonimowych już dzisiaj morderców ma jedną niezaprzeczalną zaletę. Mogę opowiedzieć wam o Tobiaszu Różewiczu, członku naszej zbiorowości, bo po pierwsze uznałem, że warto to zrobić, a po drugie, być może nieco trudniej będzie wam rzucić potem kamieniem. Zanim to jednak uczynię, muszę jeszcze na chwilę powrócić do siebie. Postaram się, żeby nie trwało to zbyt długo. Obiecuję.

Jak to już wcześniej ująłem nie czuję się zresocjalizowany. Siedzę od dwudziestu jeden lat i dość niedawno dowiedziałem się, że zupełnie się nie zmieniłem. Powiedział mi to psycholog, któremu do postawienia takiej tezy wystarczyło parę testów, godzina rozmowy, no i rzecz jasna przekonanie o konieczności odsiedzenia kary dożywocia w całości, o czym nie omieszkał mnie poinformować przez rozpoczęciem swojego badania. Właściwie wyszło na to, że ponad dwie dekady pobytu za murem, skończone szkoły, zdana matura, kilka lat studiów, cała rzesza kursów, programów, rozmów, czy spotkań z ludźmi z zewnątrz to wyłącznie ładne opakowanie. Zgrabne pudełko ze zgoła inną, już paskudniejszą zawartością. Tak ujął to specjalista, chociaż dla mnie postulat jeden człowiek – jedna osobowość wydaje się wyjątkowo minimalistyczny.

Nie odmawiam jednak racji człowiekowi z długopisem, samozwańczemu władcy resztki mojego nędznego życia, dla którego najważniejsze są skale i proporcje, steny regulujące wartości tajemniczych EKS, NEU, czy INT, modele, jakich trzykrotnie nie udało mu się do mnie przypasować i może jeszcze oczekiwania zwierzchników. Ma przecież rację, pisząc o moim wrodzonym sceptycyzmie co do intencji innych

ludzi, zniechęceniu w przypadku natknięcia na trudność w realizacji celów, skłonności do izolacji, albo właściwym funkcjonowaniu wyłącznie w dobrze znanej społeczności. Dwadzieścia jeden lat w klatce o przysługujących trzech metrach kwadratowych, zwykle z tymi samymi twarzami, z problemami i dylematami życiowymi jak załatwienie grama tytoniu lub łyżki kawy nie powinno nauczyć mnie niczego innego. Zamiast koncyliacji wybieram rywalizację, nie mam szacunku dla ustalonych norm, posiadam wrodzoną skłonność do podważania autorytetów, być może ze względu, że większość z nich myśli jedynie o zachowaniu stanowiska lub nagrodzie od ministra.

A kim jestem naprawdę? Starałem się rozświetlić nieco mrok tego pytania powyżej, pewną próbę podejmę również w trakcie tej opowieści, chociaż jak zwykle zdanie będzie należeć do was. Nie mam zamiaru o nic prosić, nie będę rozpisywał się o odruchach serca, które pozwoliły na zaistnienie uśmiechu na twarzach dzieci z sierocińców, z hospicjum, z ośrodków, gdzie chronią się żony, katowane przez swoich mężów. Każdy przyzna, że to byłby zbyt tani chwyt i będzie miał rację. Nic, co zrobiłem pod dokonaniu morderstwa, ani nic, co być może jeszcze zdołam zrobić, nie cofnie czasu. Nie zmienią tego moje rozmowy z tzw. trudną młodzieżą i dość naiwne złudzenie o dotarciu do chociażby jednego z kilkudziesięciu słuchaczy, którzy z własnej woli nigdy nie zdecydowaliby się na takie spotkanie. Nie zagnę przeszłości i linii zdarzeń, co jasno określił sam Einstein. Mogę wyłącznie próbować, a to niewdzięczna droga i z każdym dniem narasta we mnie przekonanie, że dalszy marsz nikomu nie jest potrzebny.

Na moje szczęście (i w znacznej mierze również tej opowieści) tego przekonania nigdy nie miał Tobiasz Różewicz, jeden z nielicznych, których mógłbym zaliczyć do grona moich przyjaciół. Różyka, bo tak nazwaliśmy go w Klasztorze, poznałem na samym początku swej drogi, kiedy nie myślałem jeszcze, że podejmę się trudu zostania pisarzem. Nie, w maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego byłem zupełnie kimś innym. Miałem nieco ponad dwadzieścia lat, na sumieniu śmierć dziewczyny i perspektywę spędzenia reszty życia w więzieniu. Pisanie stało od przeciwległym biegunie rzeczy, jakich pragnąłem.

- Słuchaj, mam sprawę – Różyk podszedł do mnie na spacerniaku. To, że miał jakiś interes nie wzbudziło mojego zdziwienia. Znałem go nieco od ponad miesiąca, a poza tym godzina na powietrzu, do której mieliśmy prawo, służyła temu, co spotkania znajomych w kawiarni, pubie, albo wymiana postów na Facebooku.

- Słyszałem, że napisałeś wiersz – dodał po chwili milczenia. – Napisałbyś coś dla mnie?

Obdarzyłem go spojrzeniem, dzięki któremu temperatura spadła o kilka stopni.

- Zajebać ci? – poczułem, że zaciskam pięści. Dwa ostanie lata nauczyły mnie, że Klasztor nie różnił się niczym od podwórek Pragi. Tutaj też większość sporów rozwiązywało się najprostszymi sposobami.

- Nie wkurwiaj się, Zdenek mi powiedział – Różyk nie chciał ryzykować. – Mówił, że dzięki temu wygraliście jakiś konkurs.

Gniew zelżał, a właściwie przeszedł na kolegę z celi, który postanowił pochwalić się całej grupie o moim wyczynie. Zdenek, to znaczy Artur Zdanowski stał w rogu spacerniaka, a z jego miny można było się domyśleć, że ma niezły ubaw. Zaciśnięta pięść zdradziła mu, że policzymy się, gdy tylko wrócimy pod celę.

- Nie wiem, co tam słyszałeś, ale ten wiersz to zwykła ściema – zdradziłem niezbyt głośno. Nie potrzebowałem takiej reklamy. Miałem dożywocie, wolałem, żeby się mnie bano, a pisanie wierszy nie wpisywało się raczej w taką legendę.

Różyk nie miał jednak zamiaru ustąpić.

- Ściema, nie ściema, ale konkurs wygrałeś – naciskał. Prawdziwy wrzód, jeżeli możecie mnie zrozumieć.

Ja zrozumiałem, że Różyk nie odczepi się ode mnie, dopóki czegoś mu nie odpowiem. Mogłem zrealizować swoją groźbę, albo zrobić coś zupełnie innego. W zasadzie nie wiem, dlaczego wybrałem bramkę numer dwa.

- I niby dla kogo miałby ten wiersz?

- Dla mojego syna, dla Jasia.

Tutaj muszę zrobić przerwę, powyższa scena to tylko rekwizyt, ubogi w szczegóły, a przecież bez nich nie da się ułożyć dobrej opowieści. Aby ułatwić zadanie sobie i czytelnikowi muszę pokusić się o charakterystykę postaci Różyka.

Dzień rozpoczęcia naszej znajomości, trwającej już niemal dwadzieścia lat, nie zapadłby mi w pamięć, gdyby właśnie nie ona. W przeciwieństwie do mnie i paru dodatkowych kilogramów, jakie są nieubłaganą konsekwencją żarłoczności i upływu czasu, Różyk w zasadzie niewiele się zmienił. Nadal jest szczupły, niektórzy oceniliby go nawet jako chudego i raczej nie wyróżniającego się wzrostem. Ma włosy średniej długości, mieszaninie barwie brązu i czerni, zwykle sterczące w każdą z możliwych stron. Z biegiem lat zaczął nosić okulary, co jest kolejną z naszych wspólnych cech, chociaż nie potrzebuje tak grubych szkieł. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym niewątpliwie miał jeszcze na dłoni tatuaż skorpiona, co mogę ocenić jako rozpaczliwą próbę wtopienia się w otoczenie, swoistą reakcję obronną przed światem, do którego Różyk, w mojej ocenie, nigdy nie powinien trafić.

Przynajmniej nie na tyle, ile mu zasądzono. W Klasztorze nie brakowało istnień, które w pełni zasłużyły na ten parszywy los (byłem i ja wśród nich). Patrząc na niego, tamtego dnia, poczułem, że ten spacerniak i ten świat nie powinny trzymać go przez kolejne dwadzieścia pięć lat.

Wyobraźcie sobie bowiem młodego chłopaka, właściciela sześćdziesięciu kilogramów wagi i niecałych metra siedemdziesięciu wzrostu, który trafia do gromady wilków. Dwa razy cięższych i sporo wyższych. Wilków, które nie znały pojęcia litość, które czuły się dobrze jedynie we własnym stadzie i bez odpowiedniej rekomendacji nie dopuszczały tam obcych.

Tymczasem chłopak ten nie ma za murem zbyt wielu kolegów, o jego znajomościach nie mówi się i nie podziwia się ich za pomocą przyjaznych skinień głowy. Jego atutem nie jest też imię, bo tutaj próżno szukać innego Tobiasza. Są dziesiątki Tomków, Rafałów, Mariuszów, Wojtków, Maćków, Robertów, Marcinów, ale Tobiasz tylko jeden i nikt go nie zna. Nikt o nim wcześniej nie słyszał, Gall Anonim, przeniesiony cudem w inny czas. W zasadzie wiadomo jedynie tyle, że mieszkał na Mokotowie, a jego ojcem jest nie kto inny, jak naczelnik ze Służewca.

Tak, ta ostatnia sprawa z pewnością nie poprawiała u nas notowań Różyka. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że miał podwójnie przejebane. Z jakiego powodu? Poza szczęśliwą gawiedzią potępieńców, którzy zamieszkiwali Klasztor, fakt pochodzenia z lędźwi jednego z cerberów, nie budował jego pozycji wśród reszty strażników. Ci smutni panowie potrafili się zjednoczyć w dziele uprzykrzania nam życia, co przed końcem zeszłego milenium oznaczało kuksańce, kopniaki, wypłacanie „karków", „blach" „mułów" i całej reszty mniej lub bardziej pieszczotliwych form przypomnienia kim dla nich byliśmy. Tobiasz zaliczył więc „termos" jeszcze zanim zdążył rozwinąć mandżur, co kupiło mu parę akcji na oddziale i w grupie. Taki już był ten świat, musiałeś być „skądś", znać „kogoś", albo być „kimś". Brak jednej z tych trzech rzeczy skazywał cię na nieco trudniejszą drogę.

Dla Różyka oznaczała ona spędzenie dwóch dób w dźwiękoszczelnej celi. Cerberowie spięli go tam w pasy, gdzie mógł w spokoju oczekiwać na ich wizytę i proste tłumaczenie różnic pomiędzy człowiekiem

wolnym a uwięzionym. Niektórzy z nich wciąż nie potrafią powstrzymać westchnień, gdy o tym opowiadają. Gdzieś na obrzeżach tego, co uważamy za naszą odmienność wszyscy jesteśmy tacy sami - ciemność wyzwala w nas instynkty mieszkańców jaskiń i myśliwych, polujących z dzidami na mamuty. Nie zmienia tego ubranie munduru, czy czapki z orłem.

Różyk trafił więc do nas z posiniaczoną twarzą i artykułem, który jasno określał jego przynależność. Sto czterdzieści osiem. Trzycyfrowe odzwierciedlenie zabranego życia, za które płaci się od lat ośmiu do dwudziestu pięciu, albo dożywociem. W Klasztorze nie był pierwszym, ani też niestety nie ostatnim, któremu cennik Temidy przyznał ćwierć wieku darmowych wczasów.

Akt oskarżenia nie pozostawiał zbyt wiele wątpliwości. Sprawa była jasna jak słońce w czerwcu, a i sam Różyk nie próbował się wybielić. Zresztą przyznał się do wszystkiego, chyba nawet odczuł ulgę, że ten koszmar niezbyt długo pozostał tajemnicą. Jego prokurator nie musiał się zatem specjalnie wysilać, skorzystał jedynie z szablonu, który w latach dziewięćdziesiątych służył większości podobnych spraw. Martwy chłopak, kilku sprawców, działanie umyślne, wyjątkowe okrucieństwo. Dwadzieścia pięć lat za więziennym murem.

Dla nas nie wszystko było równie oczywiste. Klasztor rządził się nieco innymi prawami i nikt nie zadawalał się przeczytaniem „białka". Świeżak, a przecież Różyk niezaprzeczalnie się do nich zaliczał, był sensacją, a tego w szarej rzeczywistości nie pozostawiano w spokoju. Tutaj każdy musiał wiedzieć wszystko o wszystkich, więc już wkrótce poznaliśmy szczegóły, jakich nie umieszcza się na żadnym pergaminie. Nie mają one znaczenia dla kapłanów Temidy, jednak upadłe diabły same decydują o zaspokojeniu apetytu. Nie jest to sprawa prosta, możecie mi wierzyć, a wspominałem już, że Różyk musiał się wkupić jakoś w nasze łaski.

Akt oskarżenia nie rozwijał kwestii rodzinnej. Obok stanu cywilnego (kawaler) oraz adresu (nieczytelne) zaledwie w jednej linijce zaistniała informacja o synu Różyka, Janie Różewiczu, który na świat przyszedł w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Ani słowa o tym, że matka chłopca, Marta Drawska rozstała się z młodym ojcem zaledwie dwa lata później. „Ty w ogóle rozumiesz, że nie mam jeszcze dwudziestu lat? Nie będę bawiła się w dom. Nie nadajesz się do niczego, niczego nie masz" krzyczała do Tobiasza przy każdej z coraz częstszych kłótni. Nastoletnie rodziny są być może ciekawym zagadnieniem socjologii, lecz w realnym świecie zwykle się rozpadają. Nie inaczej było u Marty i Tobiasza, chociaż młoda mama nie pozwoliła sobie na zbyt długą samotność.

Związała się z Robertem Ponurym, który w odróżnieniu do Różyka miał własne M-3, srebrną Toyotę Celica i stały dopływ gotówki. Trzy atrybuty prawdziwego mężczyzny, dla których mieszkanie u rodziców Marty, praca Różyka w drukarni jej ojca i bilet miesięczny MZK nie stanowiły konkurencji. Atutem Roberta, który zarazem stał się ojczymem dla syna Różyka, był również nienormowany czas pracy.

Jeden z najlepszych złodziei samochodów w Warszawie nie musiał przejmować się podbijaniem karty w fabryce, ośmiogodzinną harówką, bilansem „od pierwszego do pierwszego". Nie był frajerem, o czym świadczył złoty łańcuch na szyi i sygnet wielkości jajka, którym chwalił się wszystkim dookoła.

Im prokurator poświęcił niemal całą stronę. Ujął, że motywem działania Różyka i trójki jego wspólników był zwykły rabunek.

- To wyjątkowo okrutny czyn – grzmiał na wypełnionej do ostatniego miejsca sali. W dniu odczytywania wyroku siedziało tam kilka szkolnych wycieczek i facet w todze z krwawym kołnierzem nie omieszkał udzielić im lekcji. – To czyn ohydny, zasługujący na szczególne potępienie – powtórzył. – Sprawcy działali z okrucieństwem. Doprowadzając Roberta Ponurego do stanu bezbronności uprowadzili go w odludne miejsce, gdzie następnie znęcali się nad nim przez ponad dwie godziny – zamilkł, pozwalając ciszy podkreślić wagę swych słów.

- To im jednak nie wystarczyło – jego wzrok przeniósł się nad zgromadzonym tłumem. Chciał mieć pewność, że każdy usłyszy to, czego sprawcami była siedząca naprzeciwko czwórka mężczyzn. – Oskarżeni wsiedli później do samochodu, który uprzednio służył im do uprowadzenia ofiary i wielokrotnie, powtarzam wielokrotnie, przejechali po zmaltretowanym ciele.

To zapewniło ociekający krwią nagłówek w „Super Expressie". Wygląda on dość śmiesznie obok informacji o przylocie do Polski Michaela Jacksona, czy cielaku z dwoma głowami, lecz nie pozyskało Różykowi przychylności sądu.

- Roberta Ponurego zabito dla kilkuset gramów złota – ciągnął dalej prokurator. – Sprawcy wycenili jego życie na sześćdziesiąt pięć milionów złotych, bo taka była wartość zrabowanej ofierze biżuterii.

Dalej nastąpiła próba rekonstrukcji zdarzeń, które zdaniem prokuratury doprowadziły do śmierci Roberta Ponurego. Według przyjętej w akcie oskarżenia wersji Różyk, na trzy godziny przed popełnieniem przestępstwa, zadzwonił do swojej ofiary, prosząc ją o spotkanie w pubie osiedlowym „Alex". Pretekstem spotkania miała być kłótnia Roberta Ponurego z Martą Drawską i pobicie przez niego zarówno jej, jak i małoletniego Jana Różewicza. To wynikało z zeznań samego Różyka, do którego sędzia skierował zaraz pierwsze z pytań.

- Od kogo oskarżony dowiedział się o takim zdarzeniu?

- Od Marty – odparł Tobiasz. – Zadzwoniła do mnie, płacząc i prosząc o pomoc.

- Zadzwoniła do pana? – zdziwił się sędzia. – To ciekawe. Przecież w śledztwie zeznał Pan, że od wielu miesięcy nie mieliście ze sobą żadnego kontaktu, że była konkubina nie pozwalała panu widywać się nawet z synem. A tu nagle telefon i opowieść, po której namawia Pan trójkę swoich kolegów do, jak to sam Pan ujął, „udzielenia temu gnojowi nauczki"?

- Tak właśnie było – wyszeptał Różyk.

- Proszę głośniej – poprosił go sędzia. – Skoro miał oskarżony odwagę zaplanować przestępstwo, niech mówi teraz pełnym głosem.

- Tak właśnie było – Różyk podniósł głowę. – Chciałem dać gnojowi nauczkę. Chciałem, aby poczuł, jak to jest być bitym i nic nie móc zrobić.

Jego wybuch z pewnością nie przyniósł mu kolejnych punktów. Skład sędziowski tworzyło pięciu mężczyzn, trzech sędziów i dwoje ławników. Wymieniono jedynie spojrzenia, w których stali bywalcy sądowej sali mogli wyczytać dalszy przebieg rozprawy. Kapłani Temidy nie lubili okazywania wściekłości i gniewu, w tej świątyni nie należały one do przyjętego ceremoniału.

- Chodziło więc o wymierzenie sprawiedliwości, czyż nie? – upewnił się jeszcze sędzia. – Pragnął oskarżony w ten sposób nauczyć Roberta Ponurego szacunku i miłości.?

- Nie! – zaprzeczył Różyk. – Chciałem mu pokazać, że nie ma prawa bić mojego dziecka.

Szczere wyznanie nie wywarło na sędzim wrażenia. Mężczyzna pokiwał jedynie głową, jakby utwierdzał się w przekonaniu, że ma do czynienia z wyjątkowym zwyrodnialcem.

- I jakimże to sposobem oskarżony pragnął to pokazać? Wywabiając Roberta Ponurego podstępem z domu, następnie bijąc go, krępując, wrzucając do bagażnika samochodu? Czy później, gdy wywiózł go do

lasu w Wawrze, w miejsce odludne, gdzie bez udziału osób postronnych mógł dalej się nad nim znęcać za pomocą łyżki do opon, klucza francuskiego, kija do baseballu? Czy ta nauka skończyła się wtedy, czy też dopiero, gdy oskarżony przejechał po skatowanym ciele fiatem 125p?

W języku prawników, tym dziwnym narzeczu ustępów, paragrafów, orzeczeń i wyroków, nazywa się to krzyżowym ogniem pytań i wierzcie mi lub nie, trzeba mieć sporo siły, aby go wytrzymać. Różyk opowiadał mi potem, że czuł się, jakby jego ciało rozrywały kule z karabinu. – Chyba tak czuje się każdy, kto staje przed plutonem egzekucyjnym – mówił, jak to miał w zwyczaju, dość cichym głosem. – Sędzia miał rację, a ja nawet nie chciałem się bronić.

Wątpię, czy ta uległość zrobiła na kimkolwiek wrażenie. Sala, w której surowy kwintet ma orzec, czy kolejne kilkadziesiąt lat spędzisz za murem wysokim na sześć metrów, nie jest najlepszym miejscem na kapitulację. Nikt poprzestanie tam na satysfakcji z waszej rejterady, nie zada sobie też trudu zgłębienia wyboru, chociażby należał on do sfery najgorszego mroku. Tobiasz tego nie pojął, zresztą zawsze był facetem, wyznającym zasadę, że prawda broni się sama. Otóż nie obroniła się ona, bo sędzia miał w swoim magazynku wiele więcej kul.

- A co dla oskarżonego i jego wspólników stało się zapłatą za tę lekcję? Złoty łańcuszek o wadze stu pięćdziesięciu gram i sygnet o wadze siedemdziesięciu pięciu gram. Nauczka, za którą człowiek zapłacił własnym życiem i dwustu dwudziestoma pięcioma gramami złota.

Ta argumentacja trafiła do słuchaczy z sali, wywołując wśród nich poruszenie. Wersja Różyka różniła się bowiem od ustaleń prokuratury jak kobieta od mężczyzny, jeżeli wiecie, co mam na myśli. Sędzia zbijał motyw rodzinny, który mógłby wpłynąć na ocenę przestępstwa, zaliczając je jako tzw. zbrodnię z afektu. Afekt zaś jest silnym wzburzeniem, przy którym dochodzi do przewagi emocji nad rozumem, może powodować ograniczenie możliwości kontroli nad własnym zachowaniem i w Biblii Temidy jest okolicznością, mającą wpływ na złagodzenie wyroku.

W sprawie Różyka nic takiego nie miało mieć miejsca. Przeciwko nadmiernemu wzburzeniu przemawiały wszystkie okoliczności, czyli planowanie uprowadzenia, udział więcej niż jednego sprawcy, zabór wartościowych przedmiotów i jeszcze kilka rzeczy, którymi sędzia dobił słaniającego się na nogach Tobiasza.

- Żadna kłótnia rodzinna nie może usprawiedliwić czynu, jakiego oskarżony dopuścił się wraz z wspólnikami. Zwykła, jak to cały czas twierdzi, nauczka, przerodziła się w wielogodzinną kaźń, której żaden z podsądnych nie miał zamiaru przerwać. Oni wręcz przeciwnie, kontynuowali bicie ofiary, nie zważając

na jej prośby, na oznaki poddania, które powinny przecież wzbudzić chęć zaprzestania wymierzania tej…hmmm, sprawiedliwości – w tym miejscu sędzia przerwał, aby nieco głębszym oddechem podkreślić swoje oburzenie. – Sprawcy nie przestali się znęcać nad swoją ofiarą, nawet wtedy, gdy straciła ona przytomność. Dalej bili i skakali po ciele Roberta Ponurego. Potwierdzają to zarówno ich zeznania ze śledztwa, jak i opinia biegłego sądowego z zakresu medycyny.

Potem poproszono doktora, który przedstawił raport z sekcji. Potwierdził tam, że każdy z ciosów zadano z dużą siłą.

- Czy któryś z nich mógł zatem przyczynić się do śmierci Roberta Ponurego? – dociekał sędzia.

- Niestety nie da się stwierdzić z wystarczającą pewnością – powiedział biegły. – Ofiara była mężczyzną o wadze przekraczającej sto dziesięć kilogramów, potężnie zbudowaną. Nawet silne uderzenia nie wyrządziły nieodwracalnych szkód. Gdyby sprawcy zdecydowali się przerwać bicie i zapewnili jej pomoc lekarską, wszystko zakończyłoby się inaczej.

Wiele lat później, gdy zdołałem naciągnąć Różyka na zwierzenia (co nie jest za murem tak oczywiste), wyznał mi, że chcieli zawieźć faceta na pogotowie. – Nigdy nie chciałem go zabić. Nawet, gdy usłyszałem, co zrobił Marcie i Jasiowi. Bohater, który łamie rękę czterolatkowi poszczał się w gacie, gdy z nim skończyliśmy i to zupełnie mi wystarczyło.

Nie zdecydował się powiedzieć tego przed sądem. Nie miał na to siły, a zresztą sprawa zmierzała w jednym kierunku i nikt go nie chciał słuchać. W świątyni Temidy liczy się jedna wersja wydarzeń, a w tej zabrakło miejsca na spóźniony żal. Prokurator nie ujął jej też w akcie oskarżenia. Skrucha nie liczyła się w ostatecznym rozrachunku, podobnie jak obietnica, jaką Robert Ponury złożył swoim prześladowcom.

- W trakcie śledztwa oskarżony zeznał, że Robert Ponury groził jemu i jego rodzinie – sędzia zsunął z nosa okulary. – Co takiego ofiara miałaby powiedzieć?

- On, to znaczy Robert przysięgał, że tego pożałujemy.

- Tylko tyle?

- Przeklinał nas i… - Różyk przerwał, widząc, że sędzia zamiast na niego spogląda z powrotem do akt.

- Odczytam, co oskarżony zeznał. Cytuję: Zapierdolę was, krzyczał gdy wyrzuciliśmy go z bagażnika. Zajebię was! Jednego po drugim, wy chuje, zajebię was! Czy właśnie to pan zeznał?

- Tak.

- A jakimże to sposobem ofiara mogła wykrzyczeć to wszystko skoro zakneblowaliście jej usta ręcznikiem? W innej części swoich zeznań powiedział pan, że chcieliście go uciszyć już na klatce bloku, w której doszło do porwania. Tam pobiliście go, związaliście i włożyliście do ust knebel. To chyba uniemożliwia składanie jakichkolwiek gróźb.

- Nie wiem, nie pamiętam. Musiał się go jakoś pozbyć.

- Musiał się go jakoś pozbyć – przerwał sędzia. – A jak tego dokonał, skro był związany? Samemu raczej trudno byłoby mu ten knebel wyjąć.

Kapłan w todze nie czekał na dalsze wyjaśnienia.

- W spisie przedmiotów, jakie zabezpieczono na miejscu zdarzenia znajdują się kawałki sznura, łyżka do odkręcania opon, klucz francuski, kij do baseballu oraz kawałek ręcznika, długości dwudziestu centymetrów. Ręcznik ów, według raportu biegłego, został wyjęty z ust ofiary już po przewiezieniu do zakładu medycyny sądowej. Czy sąd ma uwierzyć zatem, że znalazł się tam już po tym, jak oskarżony postanowił pozbawić Roberta Ponurego życia?

- Nie wiem, w co chce wierzyć wysoki sąd.

- To ja oskarżonemu powiem, w co wierzę. Mam przed sobą zeznania pozostałych oskarżonych, którzy nie wspomnieli o pogróżkach, natomiast dokładnie zapamiętali, że ofiara przez cały czas miała ten knebel w ustach.

Wspólnicy Różyka nie pragnęli iść razem z nim na dno. Woleli opuścić Titanic na jednej z nielicznych szalup, co wyjaśniło się jeszcze w czasie śledztwa. Cała trójka mówiła dokładnie to, czego oczekiwał prokurator i ani przez moment nie okazała zawahania. Ich zeznania odczytano Tobiaszowi oraz całej zgromadzonej publiczności, a sędzia nie miał żadnych pytań. Wydawał się wręcz zadowolony gładkim przebiegiem katastrofy. Nic nie uprzyjemnia przecież życia bardziej niż niezbyt skomplikowany proces.

- Czy oskarżony nadal upiera się przy tych pogróżkach? Czy nawet gdyby były one prawdą, mogłyby wystarczyć do podjęcia decyzji o odebraniu wartości najwyższej, jaką jest życie człowieka? – kapłan w todze zadał dwa pytania i zgodnie z przyjętą w tej świątyni procedurą natychmiast na nie odpowiedział. – Sąd nie ma wątpliwości, że upór oskarżonego Różewicza i jego słowa o groźbach nie są niczym więcej niż przyjętą linią obrony. To marna próba zrzucenia odpowiedzialności, rozmycia innego, ustalonego przez pana prokuratora motywu. Tym motywem nie była bowiem chęć zemsty, czy obrona przed nieistniejącym zagrożeniem. Były nim złoty łańcuszek i sygnet, precjoza, za które Robert Ponury miał oddać swoje życie.

Za murem niemal każdy chce znaleźć coś na swoją obronę. Mimo stwierdzonej winy, mimo wyroku, który bez litości obnaża przeszłość, faceci pod celą nieprzerwanie szukają usprawiedliwień. Ci, którzy siedzą za znęcanie się nad rodziną twierdzą, że to żona ich prowokowała. „To una była winna, wszytkiemu una. Nawet bachory przeciw nastawiła, kurwa jedna". Nie inaczej jest z gwałcicielami, dla których kawałek odkrytej nogi, czy też obietnica piersi, jaka rysowała się pod bluzką wydawały się zaproszeniem. Złodzieje samochodów, handlarze narkotyków, podpalacze i porywacze, oszuści, pijani kierowcy, nawet zabójcy, w tej szczęśliwej rodzinie wielu szuka w swym upadku kogoś, komu go zawdzięcza.

Różyk należał do nielicznych, którzy nie próbowali się wybielić. Poznałem go na tyle dobrze, żeby uwierzyć w to, co w sądzie zabrzmiało jak wyznanie spóźnionego Raskolnikowa.

– Tak, wzięliśmy to cholerne złoto – powiedział do sędziego. – Wzięliśmy to złoto, ale tylko po to, żeby je wyrzucić.

- Wyrzucić? – głos sędziego przypominał stłumione echo. – Jestem sędzią od ponad dwudziestu lat, ale pan jako pierwszy twierdzi, że chciał zagrabione mienie po prostu wyrzucić.

- Ale ja naprawdę je wyrzuciłem. Do Wisły. Może mi wysoki sąd wierzyć, lub nie.

Wysoki sąd nie uwierzył.

- Czyli twierdzi oskarżony, że wyrzucił łańcuszek i sygnet? – mężczyzna za stołem pochylił się znowu nad aktami. – Mogę dowiedzieć się, gdzie to było?

- Koło przystani Yacht Clubu. Niedaleko zjazdu na Saską Kępę.

- Koło przystani, niedaleko Saskiej Kępy – powtórzył zamyślony sędzia. – A czy wie oskarżony, gdzie policja je odnalazła?

- Nie mam pojęcia.

- Otóż odnaleziono je nieopodal pańskiego domu. W gablocie lombardu, jakieś dziesięć kilometrów od Yacht Clubu i niewiele mniej od dna Wisły. Mam tutaj raport policji i zeznanie Andrzeja Chmielnika, właściciela lombardu. Zgodnie z nim obydwa przedmioty sprzedał mu mężczyzna o pańskim rysopisie zaledwie dwa dni po zabójstwie. Marta Drawska, konkubina zamordowanego Roberta Ponurego rozpoznała je jako jego własność. Czy oskarżony zechce powiedzieć teraz, że ktoś je z dnia Wisły wyłowił?

- Tego nie wiem. Nie miałem wtedy głowy do przejmowania się wędkarzami.

Przez salę przemknął pomruk, którego wesołych nut ciężko było dopatrzeć się na obliczach mężczyzn w togach. Sędziowie i ławnicy nie wydawali się zbytnio rozbawieni. Słowa Różyka były dla nich dowodem wyjątkowej perfidii, co należało ukarać.

- To dalece niefortunnie – powiedział sędzia z uśmiechem kata. – Taki zbieg okoliczności. Oskarżony twierdzi, że złoto wyrzucił, a ono znajduje się w lombardzie, kilka ulic od jego domu. Z doświadczenia sądu wynika, że takie rzeczy są możliwe jedynie podczas przedstawień magików.

Historia państw i narodów już nieraz dała przykład, że kilka słów, wypowiedzianych w emocjach, może prowadzić do wybuchu wojny. Słowa te, gdy odczytuje się je na kartach ksiąg, czy traktatów, nie mają już tego wymiaru, jednak w chwili swych narodzin prowadzą do rzeczy strasznych, decydują o losach mi-

lionów ludzi.

To, co powiedział Różyk zdecydowało jedynie o jego przeznaczeniu. Na całe ćwierć wieku.

- Nigdy nie chciałem obrabować Roberta Ponurego. Nikomu tego złota nie sprzedawałem. I co najważniejsze, nie wiem, jakie doświadczenia ma wysoki sąd z magikami.

W tym momencie sędzia musiał użyć młotka, który do tej pory sprawował rolę jednego z rekwizytów. Różyk opowiadał mi później, że bił nim długo, patrząc przy tym na niego tak, jak patrzy się na rozgniatanego karalucha.

- Nikt nie zadał sobie trudu obejrzenia zdjęć i porównania sygnetu z lombardu z tym, który naprawdę nosił Ponury – opowiadał mi o tym w celi. - W tym, który pokazano na sprawie nie było żadnego kamienia, żadnego grawerunku z jego imieniem, a gościu miał ego jak stąd do Krakowa. Łańcuch nie miał też zapięcia w kształcie pięści, tylko jakieś zwykłe. Psy po prostu znalazły coś podobnego, a właściciel lombardu zeznał to, co mu kazali. Może zresztą kupił złoto do jakiegoś złodzieja i chciał uniknąć kłopotów.

- A Marta? Czemu ona nic nie powiedziała?

- Prokurator zagroził, że zabierze jej Jasia. Powiedział, że odda go do domu dziecka, a ją wsadzi za współudział. To wystarczyło, aby rozpoznała wszystko to, co miała rozpoznać.

Musicie mi uwierzyć, że sam miałem problem z tą opowieścią, a Różyka lubiłem i znałem lepiej niż jego sędzia. Miałem też okazję poznać kilka podobnych spraw, gdzie dowody ginęły lub zapodziewały się w magazynach, świadkowie odzyskiwali lub tracili pamięć w zależności od oczekiwań prokuratury, a kapłani w togach posługiwali się najprostszym orężem. „Z doświadczenia sądu…" tę formułę znał każdy z mieszkańców Klasztoru. Empiria Temidy wystarczała do wydania wyroku. Być może dlatego wizerunek owej bogini ma oczy przewiązane opaską.

Różyk już wkrótce miał się o tym przekonać na własnej skórze.

- Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej… - wiadomo już, co nastąpiło dalej. Dwadzieścia pięć lat więzienia to nieco mniej niż dożywocie, ale również skazuje człowieka na spędzenie za murem tej części życia, dzięki której starość może stać się czymś lepszym niż prawo do oddechu. Dwadzieścia pięć lat, czyli ćwierć wieku na wysypisku. Gdzieś pomiędzy odpadkami, o czym, jak już nadmieniłem, Klasztor nie omieszkał mu powiedzieć przy pierwszej z nadarzających się okazji.

Różyk przyszedł na oddział z reputacją gościa, któremu nasi cerberowie nie zamierzają umilać życia. Oczywiście wiedzieliśmy, że ktoś taki pojawi się wśród nas; niepisaną zasadą tutejszego życia jest poczta pantoflowa. Wiadomości przekazuje się z ust do ust, wyławia się jak ryby z mętnej wody, co z góry określa ich smak i wagę. Widok pokrytego siniakami małolata, któremu trudność sprawiało wniesienie zawiniątka ze skromnym dobytkiem, wzbudził zainteresowanie i już wkrótce wiedzieliśmy o Różyku więcej niż sam przyznałby księdzu na spowiedzi.

I wtedy do głosu doszedł mechanizm, którego budowę zaczęto chyba wraz ze stawianiem pierwszego więzienia na świecie. Ktoś usłyszał, rzecz jasna przypadkiem, że ojciec Różyka jest cerberem. Nie wiadomo skąd, ani właściwie od kogo zaczęło się dochodzenie, w którym liczyła się tylko jedna prawda. Starsza od murów Klasztoru, pochodziła z czasów Aleksandra Wielkiego, a wypowiedział ją jeden z jego dworzan, pewnie po osuszeniu kilku kamfor z winem.

- Audacter calumniare, semper aliquoid hearet – rzucił w języku martwych poetów. W narzeczu więźniów tłumaczenie łacińskiej sentencji było o wiele prostsze.

- Obrzuć człowieka gównem. Zawsze coś przylgnie – tą zasadą nasza wspaniała rodzinka kieruje się od niepamiętnych czasów. Dzięki niej poznałem Tobiasza na kilka miesięcy przed naszym spotkaniem na spacerze, gdy poprosił mnie o wiersz na piąte urodziny syna.

Po raz pierwszy zobaczyłem go na spacerze, w marcu, może na początku kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego. Miesiąc wcześniej dowiedziałem się, że spędzę za murem resztę życia, więc nie zdziwi nikogo mój brak zainteresowania otaczającym światem. Nie miałem ochoty wpatrywać się w odrapane mury, które otaczały spacerniak z trzech stron, na zwoje kolczastego druty, obwieszonego dziesiątkami linek i torebkami z kawałkami mydła. na okna z plamami bladych twarzy. Nie odczuwałem chęci włączenia się w korowody straceńców, którzy krążyli dookoła albo zajmowali się ćwiczeniami na konstrukcjach z pordzewiałego metalu. Zająłem się tym, kogo też już miałem z wolna dosyć, czyli sobą.

Moją samotność zakłócił jednak Leszcz. Nie znałem go zbyt dobrze. Siedział dwie cele dalej, miał twarz, naznaczoną dziesiątkami pryszczy, a za sobą napad i gwałt. Ta ostatnia rzecz sprawiała, że stał gdzieś na

uboczu naszego życia. Małolaci kierowali się pewnymi zasadami. Nikt nie lubił „majciarzy", więc nie zwróciłem uwagi, kiedy podszedł i wyciągnął dłoń.

- Siemasz kołowrotek!

Jego głos wyrwał mnie z odrętwienia, ale nie odczuwałem wdzięczności. Ci, którzy poznali mnie lepiej wiedzieli, że nie miałem nastroju na żadne rozmowy. Szanowano to nawet w celi, oczywiście po dłuższej dyskusji, której argumenty sprowadzały się do paru dobrze wymierzonych sierpowych.

- Siemasz. Czego chcesz? – zignorowałem wyciągniętą dłoń, ale Leszcz nie wydawał się zbyt przejęty moim sygnałem.

- Interes mam.

- Jaki interes?

- Skoki mam do pogonki. Nówki sztuki, prawie nieśmigane.

Spojrzałem na jego nogi. Rzeczywiście miał na sobie buty, w dodatku wyglądające na nowe. To było dziwne, zważywszy, że od miesięcy chodził w poszarpanych trampkach.

- Komu je zszachowałeś?

Na pryszczatej twarzy wyrósł uśmiech.

- Nikomu, Jarecka mi przywiozła.

- Nie zaprawiaj, wiem, że nikt do ciebie nie przyjeżdża.

Dwadzieścia dwie cele, każda licząca czterech więźniów dawało łącznie osiemdziesięciu ośmiu skazańców. Nie była to masa, dzięki której utrzymywało się jakąś tajemnicę.

Na swoje szczęście Leszcz wykazywał chęci upierania się przy tej wersji.

- A to ma znaczenie? – jego uśmiech zaprezentował mi pokaźną szczerbą w uzębieniu. – Skoki są nowe, darmo oddam.

Odwzajemniłem uśmiech.

- To dawaj.

- No co ty, świrowałem tak tylko – odparł, cofając się na wszelki wypadek o dwa kroki. – To najki, na wolności musiałbyś dać za nie z pięć stówek.

Znowu obrzuciłem spojrzeniem jego nowy nabytek. Buty miały charakterystyczną łyżwę, ale na obliczu Leszcza malowało się coś, co nie przypadło mi do gustu.

- No dobra, skąd je masz? – postanowiłem, że trochę go przycisnę. Buty mi się spodobały, mogłem zrobić ten interes, jednak wolałem się dowiedzieć, do kogo wcześniej należały. Nie pragnąłem więcej kłopotów. Wystarczyło, że w Klasztorze byłem pierwszy, który dostał dożywocie. To zapewniało mi wystarczające zainteresowanie cerberów.

- Od świeżaka – wydusił z siebie Leszcz. – Stoi tam w rogu.

Mój wzrok powędrował na przeciwległą ścianę. Nowym właścicielem poszarpanych trampków stał się Tobiasz, o którym wiedziałem tylko tyle, że jego stary był naczelnikiem na Służewcu. Za murem trudno było o gorsze referencje, co bez litości obnażała jego twarz. Do kilku starych siniaków dołączyły nowe. Wyglądało na to, że Tobiasz nie chciał oddać butów po dobroci.

- W co ty chcesz mnie wpierdolić, Leszczu? – warknąłem, a pryszczaty znowu cofnął się o krok. – Ja wezmę te skoki, a jutro wjedzie po nie atanda.

- Nie ma mowy – Leszcz znowu obdarzył mnie uśmiechem. – Gady mu nie pomogą, słyszałem, że możemy go docierać do bólu. Gościu ma u nich naprawdę przejebane.

Nie wiem, co sprawiło, że po tych słowach znalazł się pod schodami. Może miałem dość tego uśmiechu, a może po prostu zrobiło mi się żal chłopaka, który wyglądał, jakby znalazł się na tym spacerniaku przypadkiem i nie do końca wiedział, jak się to stało. Pamiętam tylko, że nachyliłem się nad Leszczem, którego szczerba w uśmiechu powiększyła się tamtego dnia o kolejny stracony ząb.

- Ma przejebane, a ty go jeszcze dojeżdżasz? - spytałem, przyciskając go do ziemi. – Masz oddać mu te skoki i przeprosić.

- Dlaczego?

- Dlatego, że cię o to ładnie proszę – powiedziałem. – Oddasz mu buty i przeprosisz.

Po jego minie widziałem, że ma jeszcze wątpliwości. Ścisnąłem go trochę mocniej. Nie chciałem go skrzywdzić, ale o tym akurat nie musiał wiedzieć.

- Jakbyś zapomniał to mam dookoła – syknąłem. – W zasadzie więcej nie dostanę, a poza tym za takiego szczura jak ty to mi raczej dadzą medal.

Leszcz kiwnął głową. Krosty na jego twarzy przybrały kolor dojrzałych winogron, więc rozluźniłem uchwyt.

- Fajnie, że się zrozumieliśmy – pomogłem mu wstać. Kilka klepnięć otrzepało go z kurzu i naprowadziło na odpowiednią drogę.

Patrzyłem jak podchodzi do Tobiasza i próbuje coś tłumaczyć. Ze schodów nie słyszałem, czy zdobył się na przeprosiny, ale to nie było ważne. Liczyło się to, że zdjął buty i oddał je właścicielowi.

Nikt na nas nie patrzył, lecz wiedziałem, że Klasztor nie przegapił całego zajścia. W tych murach ciężko było coś ukryć, więc wiadomość o moim wstawiennictwie za świeżakiem wywołała kilka dyskusji. Do końca godziny, w której mieliśmy prawo spoglądać na nieokratowane niebo wciąż pozostawało sporo czasu, a ten sprzyjał powstawaniu niespodzianek. Nie lubiłem ich, co sprawiło, że zostałem na schodach. Z tego punktu obejmowałem wzrokiem cały prostokąt spacerniaka. Bez trudu dostrzegłem, że mój wyczyn przysporzył mi zarówno zwolenników, jak i przeciwników. Tak już było w tym świecie, a upokorzony Leszczu nie omieszkał szukać pomocy. Jego koledzy najwyraźniej nie chcieli jednak zadrzeć z kolesiem, który w Klasztorze miał spędzić resztę życia.

Kiedy schodziliśmy ze spacerniaka, ktoś jednak do mnie podszedł. W niebieskich oczach, podkreślonych sińcami, widniało zdziwienie, zmieszane pół na pół z wdzięcznością.

- Dzięki! – szept przedarł się przez zwyczajowe zamieszanie.

Wzruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem. Nie myślałem wtedy o tym, że pomogłem komuś, kto nie umiał się jeszcze sam obronić. Bardziej cieszyło mnie zwycięstwo nad Leszczem i jego ziomkami, których kwaśne miny odprowadzały mnie przez całą drogę na oddział. Nie obawiałem się z ich strony zemsty. W układach, jakie rządziły Klasztorem, mieszkańcy celi numer pięćset siedem nie zajmowali żadnego szczególnego miejsca. Wiedzieli natomiast, że nie mają już prawa dotknąć Różyka. Od tamtego dnia świeżak był u mnie pod „skrzydełkiem", co oznaczało mniej więcej tyle, że bez mojej zgody nikt nie miał prawa dotknąć go choćby palcem.

Niestety już następnego dnia okazało się, że Klasztor rządzi się zupełnie innymi prawami. Tobiasz znowu wyszedł na spacer w poszarpanych trampkach, a jego twarz zdobiło parę nowych siniaków. Świeżak nie chciał przyznać się, komu je zawdzięcza, ale nie musiał tego robić.

- Te, dożywotka, Leszczu nie zrozumiał chyba twojej lekcji – ktoś zaśmiał się i zamilkł, kiedy obróciłem głowę, żeby go poszukać.

Głupota zawsze wytrącała mnie z równowagi. Być może dlatego, że własnej miałem aż nadto. Cudza

przelewała się więc z naczynia, jakim określa się panowaniem nad sobą i przyznam, że tego dnia nie miałem zamiaru tego robić. Sprawa nie dotyczyła już skradzionych butów, czy kolejnego pobicia Różyka. Leszcz i jego koledzy rzucali mi w ten sposób wyzwanie, a tego, jeśli chciałem utrzymać się na powierzchni, nie mogłem odpuścić.

- Kto to zrobił, świeżak? – spytałem półgłosem. – Mów, nie pękaj.

Zobaczyłem niebieskie oczy, największe, jakiej do tej pory widziałem, ale Tobiasz nie powiedział ani słowa. Nie należał do zbyt wylewnych. To jedno nie uległo przez lata żadnej zmianie.

- Nikt, przewróciłem się – wycisnął, kiedy zobaczył, że nie spławi mnie milczeniem.

- Przewróciłeś się? – powtórzyłem za nim. – Musisz mieć strasznie wyboistą celę.

Jego ramiona drgnęły w geście obojętności. Różyk minął mnie i ruszył przed siebie. Nie naciskałem, nawet ślepiec zauważyłby, że nie ma zamiaru powiedzieć, kto próbuje zamienić jego twarz w połeć surowego mięsa. Wiedziałem natomiast, że pozostawienie go bez pomocy nie może dobrze się skończyć.

Czym jest więzienna „omerta", tego chyba nie muszę tłumaczyć. Nakaz milczenia, przeniesiony rodem ze wzgórz Sycylii, należał do jednej z najważniejszych zasad życia w Klasztorze. Nie opłacało się go łamać. Ci, którzy to robili, stawali się pariasami wśród pariasów. Ich odsiadka zamieniała się wtedy w nieustającą odyseję, właściwie banicję, z której nie można było już powrócić.

Różyk nie powiedział ani słowa. Ani cerberom, którzy musieli widzieć jego oko, niknące w bańce opuchlizny, ani mnie, co tylko potwierdzało wcześniejszą ocenę. Milczenie i zawziętość, z którymi pokonywał kolejne metry, zawstydziłyby niejednego dona. Diabły z Klasztoru potrafiły docenić niewiele, ale coś takiego musiało mu zyskać ich szacunek.

Pomogło też w znalezieniu kilku gości, którzy myśleli podobnie jak ja. Poświęciłem trochę czasu na przekonanie każdego, kto miał coś do powiedzenia, że mieszkańcy pięćset siódemki powinni ponieść karę. Na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego nie sprawiało to większego problemu. Młode diabły tylko czekały na podobną okazję, nikt nie obawiał się kolejnej odsiadki. Cerberowie przymykali oczy na nasze porachunki, w zasadzie cieszyli się, że sami załatwiamy pewne sprawy. Oczywiście dzisiaj

wszystko wygląda nieco inaczej, wtedy, już po kwadransie, miałem milczącą zgodę na udzielenie Leszczowi i jego ziomkom odpowiedniej lekcji.

Jak miała się ona odbyć w Klasztorze, gdzie przez dwadzieścia trzy godziny na dobę siedziało się w klatce o wymiarach trzy na cztery metry? Wówczas w niczym nam to nie przeszkodziło. Klapy w drzwiach tylko z wyglądu przypominały niepokonane wierzeje. Do ich otwarcia wystarczała odpowiednia brecha, czyli kawałek wygiętego metalu. Na korytarzu zawsze przechadzali się jacyś funkcyjni, których przychylność kupowało się paroma paczkami Mocnych.

Potem wszystko potoczyło się według utartego schematu, który w świecie poza murem nazywa się samosądem, albo linczem. W Klasztorze nikt nie trudził się wyszukiwaniem nazw. Przemoc należała do krajobrazu naszej codzienności, istniała w niej od lat, podobnie jak wysokie na sześć metrów mury czy wieżyczki z uzbrojonymi w karabiny cerberami. Nikt się im nie dziwił, nikt też nie próbował z nimi walczyć. Dość powiedzieć, że po dzwonku, gdy lekcja dobiegła końca, Różyk odzyskał swoje buty, a jego prześladowcy… no cóż, myślę, że przyswoili starą, nie tylko więzienną prawdę - siła zawsze natknie się na jeszcze większą siłę.

A Różyk? Cerberowie przenieśli go do innej celi. Tak było lepiej i dla niego, jak i dla pozostałych mieszkańców pięćset siódemki. Wkrótce zresztą zmienił się tam cały skład. Z tego, co wiem Leszcz nigdy już nie podniósł ręki na świeżaka. Można powiedzieć, że nasza lekcja pomogła mu w rehabilitacji – cokolwiek znaczy to słowo.

Musiało minąć parę tygodni, zanim Różyk odważył się do mnie podejść. Widziałem wprawdzie, że czasami patrzył w moją stronę, ale nie dążyłem do rozmowy. Nie jestem mistrzem pierwszego kroku w budowaniu przyjaźni, a poza tym nadal borykałem się z problemem niedawnego dożywocia. Świat wokół mnie miał barwę murów Klasztoru; był szary i pozbawiony ciepła. Nie rozświetlało go ani myśli, ani słońce, do którego lgnęły bladawe ciała.

Kiedy więc Różyk zdecydował się wreszcie odezwać, myślałem, że będzie chciał mi podziękować za załatwienie sprawy z Leszczem. W końcu mu pomogłem, co nie należało do utartego rytuału. Ceremonia przyjęcia „świeżaka”, czyli każdego, kto przekroczył mury Klasztoru, wyglądała zupełnie inaczej. Świeżak musiał poznać nasze prawa i swoje obowiązki, jego skromny dobytek stawał się dobrem wspólnym, a wszelkie próby oporu łamano bez litości. Musiał wstawać zaraz po apelu, odbierać śniadanie, czy sprzątać. Nie wolno mu było kłaść się do łóżka i wpadać w zadumę; myślenie o wolności, czy dziewczynie za murem było prawem starszych diabłów. Nikt nie zauważał jego sukcesów, przynajmniej nie tak, jak potknięcia i porażki. Ich cennik wyznaczała pomysłowość innych diabłów, czyli żywioł dziki, przypominający potok w górach tuż po nadejściu wiosny.

Takie otrzęsiny trwały kilka dni, lub kilka miesięcy, a ich zakończenie nie zależało od starań świeżaka. Zwykle musiał czekać na pojawienie się nowego obiektu, kogoś, kto podobnie jak on sam, wpatrywał się w mury i kraty Klasztoru oczami wielkości spodków, a jego doświadczenie kończyło się na nocy, jaką spędził na komisariacie.

Tobiasz mógł więc zaliczyć się do szczęśliwców. Po lekcji, jakiej udzieliłem Leszczowi, nikt nie wątpił, że obrządek jego świeżactwa dobiegł końca.

Tymczasem okazało się, że jego przejęta mina i powaga, jaką zawarł w każdym z kilku wypowiedzianych słów, dotyczyły zupełnie czegoś innego.

- Mój Jaś kończy w lipcu pięć lat – tłumaczył cichym głosem. – Chcę mu dać coś od siebie. Coś, co pozwoli mu nie zapomnieć.

- I musiałeś wybrać wiersz? – spytałem nieco zawstydzony. – Ode mnie? Jestem chyba ostatnim człowiekiem, który może napisać wiersz dla dziecka.

- Czytałem to, co napisałeś na tamten konkurs – przyznał po chwili. –To był fajne, nawet bardzo.

Nie uwierzyłem w ani jedno jego słowo, ale kiwnąłem głowę. Zgoda nie kosztowała mnie tyle, ile próba spławienia Różyka. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy, jak wiele syn dla niego znaczy. Kochał go, to musiał dostrzec każdy diabeł. W odróżnieniu od innych ojców zza muru, u których uczucia zmartwychwstawały dopiero po zatrzaśnięciu więziennej bramy, Różyk naprawdę go kochał.

- A na kiedy byś go napisał? – dociekał dalej.

- Nie wiem. Daj mi trochę czasu, ziomek – odparłem. – To nie rysunek ze zdjęcia. Muszę się trochę zastanowić, pomyśleć.

- Tylko napisz go. Na pewno – rzucił, zanim odszedł, zostawiając mnie z problemem, jakiego nigdy nie

wziąłbym na siebie z własnej woli. W zasadzie żałowałem swojej zgody już w tej chwili, kiedy jej udzieliłem.

Chcąc, nie chcąc, musiałem podjąć się tego wyzwania. Zasady życia w Klasztorze nie przewidywały tutaj żadnych ustępstw. W świecie murów i krat niewiele rzeczy stawało się świętością, ale obietnice i długi wchodziły w skład tego dekalogu od wieków. Nie opłacało się łamać raz danego słowa, czy o nim zapominać. W odróżnieniu bowiem od konfesjonału, gdzie po spowiedzi następuje rozgrzeszenie i pokuta, Klasztor znał tylko pojęcie wiecznego potępienia. Adepci tego zakonu nie zaprzątali sobie głowy przebaczaniem, więc życie grzeszników stawało się o wiele trudniejsze.

Mogłem przepisać ten wiersz. W więziennej bibliotece nie brakowało książek. Na pokrytych kurzem półkach znalazłbym wreszcie coś odpowiedniego. Tak robiła większość współplemieńców; spisywali wersy o miłości i tęsknocie, o srebrzystym księżycu, gwiazdach, kwiatach na łące i całej masie innych rzeczy, które miały przekroczyć mury Klasztoru i powędrować do wybranki ich serca. Niektóre słowa krążyły wręcz w nieskończoność:

Ach, jak mi smutno! Mój anioł mnie rzucił,

W daleki odbiegł świat

I próżno wzywam, ażeby mi zwrócił

Zabrany marzeń kwiat.

Ach, jak mi smutno! Cień mnie już otacza,

Posępny grobu cień;

Serce się jeszcze zrywa i rozpacza

Szukając jasnych tchnień;

Ale na próżno uciszyć się lęka

I próżno przeszłość oskarża rozrzutną...

Ciąży już nad nim niewidzialna ręka -

Ach, jak mi smutno!

(Adam Asnyk „Ach, jak mi smutno”)

Popularność tych fraz wykluczała jednak podobną próbę, a zresztą ciężko byłoby je zrozumieć pięciolatkowi. Wiersz dziewiętnastowiecznego poety nadawał się może dla dziewczyny, czy żony, ale syn Różyka zasługiwał na coś innego. Po kilku nieprzespanych nocach zdołałem sklecić parę wersów, których nie będę tutaj przytaczał. Znajdziecie je na końcu tej opowieści, wraz z kolejnymi, o które Tobiasz poprosił rok i dwa lata później. Napisałem tylko trzy takie wierszyki i chociaż żaden z nich nie może się równać z „Lokomotywą”, czy „Kaczką Dziwaczką”, to jestem z nich dumny, bardziej niż z czegokolwiek innego, co udało mi się później stworzyć.

Nie będę też opisywał radości Tobiasza, gdy wręczyłem mu kartkę ze swoim koślawym pismem. Wczytywał się w moje koślawe pismo, jakby właśnie dostał ułaskawienie, a przecież nie było to nic wielkiego. Tamten dzień, spędzony na świetlicy, gdzie oglądaliśmy mecz Legii z Widzewem, zapadł mi jednak w pamięci nie z tego powodu.

Było nas około dwudziestu, niemal wszyscy w jednym wieku. Szczęśliwa rodzina młodych diabłów, złączonych niczym więcej ponad faktem upadku. Siedzieliśmy w kilku rzędach, wznosząc okrzyki, jakie na dłuższą metę musiały wzbudzić zainteresowanie cerberów. Ich dyżurka znajdowała się na drugim końcu korytarza, ale byłem pewien, że zapał takich kibiców docierał na sam stadion.

Nikogo nie zdziwiło też pojawienie się jednego ze strażników. Klapa otworzyła się z hukiem, a my zobaczyliśmy oblicze Hitlera. Tak nazwaliśmy Jerzego Olszę, bynajmniej nie z powodu wąsika i przylizanej na czole grzywki. Hitler zawdzięczał swoje przezwisko zupełnie czemuś innemu.

- Do gazu, proszę państwa, do gazu – powtarzał raz na tydzień, gdy szliśmy całą grupą na łaźnię. Uważał się za niezmiernie dowcipnego, bo rechotał przy tym i uderzał się dłonią w udo. Lubił też, od czasu do czasu, poczęstować kogoś pięścią, czy celnym kopniakiem, co sprawiało, że większość z nas życzyła mu potrącenia przez ciężarówkę.

Hitler stanął w wejściu i rozejrzał się dookoła. Nie wiedzieliśmy kogo szuka i na wszelki wypadek nie patrzyliśmy w jego stronę. Musiał być nieźle wkurzony naszymi krzykami, a dym, który nie chciał ulecieć przez okno, raczej nie poprawił mu nastroju.

- Wiecie, że na świetlicy nie wolno palić? – spytał, cedząc każde słowo. - Ile razy można wam to powtarzać gnoje?!

W każdym innym dniu jego słowa spotkałyby się z odpowiedzią równie stanowczą, co ostrze gilotyny. Młode diabły nie przejmowały się zbyt wieloma rzeczami. I tak nie mieliśmy niczego, w celach nie oczekiwało na nas nic, oprócz odrapanych ścian, łóżek, z których sypała się rdza i podłogi, przypominającej klepisko w wiejskiej chacie. To była cena za lekcję, jakiej udzieliliśmy Leszczowi i jego kolegom. Dyrektor Rydz nie szukał winnych. Ukarał wszystkich i świetlica była jedynym miejscem, gdzie mogliśmy obejrzeć mecz.

Hitler dobrze o tym wiedział.

- Macie szczęście, że jestem tu po Trzeciaka – wskazał palcem na grubego chłopaka z ostatniego rzędu. – Marsz do wychowawcy.

Wezwany podniósł się i z miną idącego na ścięcie wyszedł ze świetlicy. Nikt nie zastanawiał się, po co. Nikogo to nie interesowało, właściwie cieszyliśmy się, że w ślad za nim ruszył Hitler. Mogliśmy wrócić do oglądania meczu, tym bardziej, że rozpoczynała się druga połowa.

Nie wiem, ile czasu upłynęło od wyjścia Grubego. Pięć, może dziesięć minut, ale wkrótce drzwi otworzyły się ponownie i chłopak wrócił do świetlicy. W każdym innym dniu pojawiłyby się być może jakieś pytania, ktoś zaciekawiłby się, co takiego chciał od niego wychowawca, czyli kolejny z cerberów, jakim diabły w Klasztorze wypowiadały bezwzględną wojnę. Niestety trwał mecz i nikt nie zwrócił uwagi na to, że Gruby płacze.

Nikt, poza Różykiem.

Wiem, wiem. Zarzucicie mi teraz zbytnią tkliwość, rozczulanie się nad losem ludzi, którzy solidnie na niego zapracowali, którzy nie wahali się krzywdzić innych. Ich łzy nie budzą pewnie wzruszenia, są wynikiem wyrządzonego zła i paru innych rzeczy. Zasłużyli na to, tak powie większość z was i będzie miała rację. Skruszeni bandyci są równie prawdziwi jak figury z salonu madame Tussaud`s.

Co nie zmienia faktu, że Grzegorz Trzeciak, nazywany przez nas Grubasem, płakał. Właściwie zanosił się szlochem, łkał i zawodził, połykając własny oddech, aż w końcu kilka głów spojrzało w jego stronę.

- Tu się mecz ogląda!

Niestety łzy ciekły nadal, nie mogło ich powstrzymać ani nasze niezadowolenie, ani palce, przypominające serdelki. Gruby przyciskał dłonie do twarzy i kwilił, budząc jedynie niesmak pozostałych diabłów.

- Co się z tobą dzieje, grubasie?!

Do coraz głośniejszych jęków dołączyło szuranie krzeseł.

- Zamkniesz wreszcie tego ryja!?

Różyk podniósł się z miejsca.

- Może sami zamkniecie ryje! – jego krzyk sprawił, że mecz stał się rzeczą całkowicie drugorzędną. Różyk stanął tuż przed łkającym chłopakiem i zasłonił go swoim ciałem. Wyglądało to tak, jakby mysz chciała obronić słonia.

Poczułem na sobie kilka zniecierpliwionych spojrzeń. Po zajściu z Leszczem nikt już nie miał wątpliwości co do immunitetu Tobiasza. Świeżak był u mnie „pod skrzydełkim", ale nawet to nie musiało go teraz ochronić.

- O co chodzi, Różyk? – spytałem, nie ruszając się z miejsca.

- Grześkowi właśnie zmarła matka – odparł Tobiasz. – To właśnie dlatego był u wychowka i chyba ma prawo sobie trochę popłakać.

Różyk usiadł i objął Grubego ramieniem. Nie patrzył już w naszą stronę, przestaliśmy dla niego istnieć. Myślę, że w tamtej chwili ich świat skurczył się tak bardzo, że pozostałe diabły nie miały tam wstępu. Liczył się tylko ból młodego chłopaka, którego nikt, poza Tobiaszem, nie umiał i chyba nie chciał przyjąć. Trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie było.

Życie w Klasztorze toczyło się dalej i wkrótce nikt już nie pamiętał sytuacji ze świetlicy. Codzienność świata za murem składała się z różnych dramatów; na oddziale siedział wtedy Darek Korba, który tak jak ja miał niespełna dwadzieścia lat i dwadzieścia pięć lat wyroku za porwanie oraz zabójstwo. Miał też ojca, który przyjeżdżał do niego co miesiąc, pokonując ponad dwieście kilometrów. Pewnego dnia nie przyjechał. Darek czekał na niego kilka godzin, aż zawołano również i jego do wychowawcy. W przeciwieństwie do Grubego, Darek nie wrócił jednak do celi. „Podobno jego ojciec miał wypadek. Wpadł pod pociąg, czy coś takiego", opowiadano później. „Rozumiecie, jechał do niego na widzenie i wpakował się prosto na tory. Podobno ucięło mu głowę, tak słyszałem". Jaka była prawda, tego nigdy się nie dowiedziałem. Jeden z cerberów zdradził, że Darek rzucił się na wychowawcę, który powiedział mu, że ma na sumieniu kolejną śmierć.

Takie rzeczy tworzyły życie młodych diabłów. Nikt się nad nami nie litował, cerberowie nie mieli na to ani czasu, ani ochoty. Wątpię zresztą, że którykolwiek z nas potrafiłby to docenić, pomoc cerberów stała

na odległym biegunie naszych pragnień. Byliśmy młodymi diabłami, najgorszymi w całym Klasztorze, a pojęcie miłosierdzia należało do terminów szerzej nieznanych. Właściwie mógłbym nazwać je efemerydą, która nawet, gdy się pojawiła, budziła jedynie wzruszenie ramion.

Jakieś dwa miesiące później, gdzieś pod koniec wakacji, cerberowie postanowili rozwiązać problem małolatki. Ich pomysł opierał się na stłoczeniu nas wszystkich w dwóch, trzech celach, nazywanych z racji wielkości „stodołami". Były to największe z apartamentów w naszym domu wczasowym, prawdziwe molochy, w których mieściło się nawet po trzydziestu skazańców. Dzięki takiemu rozmieszczeniu cerberowie mieli zamiar sprawować nad nami większą kontrolę.

Równie dobrze mogliby pragnąć powstrzymać erupcję Etny. Młode diabły tylko na to czekały. Życie w wielkiej celi miało szereg zalet, wśród których najważniejszą był brak nudy. Już pierwszego dnia po przeprowadzce, gdy tylko wnieśliśmy do środka swoje rzeczy, Eryk Lubański (zapewniał, że nie jest kuzynem Władysława) wpadł na pomysł zamiany naszej celi w basen.

- Ale jak chcesz to zrobić? – spytał go ktoś, kto usiłował zachować resztki rozsądku.

- Jak to jak? – zdziwił się zagadnięty. – Uszczelniamy klapę, kładziemy mandżury na koja i sypiemy wodę na parkiet.

- A co jeśli ktoś otworzy drzwi?

- Teraz będziesz się tym martwił? – Eryk zaśmiał się, a wraz z nim każdy, kto chciał ten piękny sierpniowy dzień zakończyć nieco inaczej niż zwykle.

Nic więcej nie trzeba było mówić. Życie małolatów przypominało jazdę na rollercoasterze bez żadnych zabezpieczeń. Pomysł z basenem był równie dobry jak rozpalenie na środku celi ogniska, czy mecz rugby. O naszych wyczynach opowiadano potem w Klasztorze całymi tygodniami, więc nie zwlekaliśmy. W szczelinach klapy, przez które bez problemu przechodziła paczka papierosów, wylądowały ręczniki i koce, a wizjer zalepiono gumą do żucia.

- Dzisiaj na zmianie Hitler – malkontent nie chciał dać za wygarną nawet, gdy odkręciliśmy wodę.

- No i co z tego? – odparł zadowolony z siebie Eryk. Mimo, że od dnia wyjścia na wolność dzieliło go jeszcze trzynaście lat, nie tracił humoru. – I tak mamy u tej starej pały przejebane. Co nam może zrobić?

Na taki argument nie było silnych. Hitler należał do najbardziej znienawidzonych cerberów, o czym pisałem już nieco wcześniej. Był cerberem od ponad dwóch dekad, co oznaczało mniej więcej tyle, że służył w Klasztorze jeszcze przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. „Ja bym was wtedy nauczył szacunku, gnoje" mówił za każdym razem, gdy mieliśmy spięcie, czyli przynajmniej raz na dzień. „Nikt się nie pieścił z takimi śmieciami jak wy. Na dźwiękach nie było tak przyjemnie jak dzisiaj" mówił z miną tak zbolałą, że prawie go żałowaliśmy. Bardziej żałowaliśmy jednak kolegów, którzy mieli okazję poznać Jerzego Olszę podczas pobytu w „termosie". Jeden z nich, Wojtek Truskawski zawdzięczał tęgiemu mężczyźnie brak nerki, chociaż Hitler nie wyglądał, jakby to go smuciło: „I tak masz szczęście, gównożryju" zaśmiewał się do łez za każdym razem, gdy Wojtek jeździł na dializy. Okazało się, że druga nerka nie pracuje tak jak powinna, co skazywało chłopaka już do końca życia.

Woda lała się więc przez dobre dwie godziny, zanim uznaliśmy, że już wystarczy. Nasz basen przypominał co najwyżej brodzik, ale diabłom wystarczało to w zupełności.

- Skaczę pierwszy! – Eryk rozpędził się i rzucił jak długi. Woda rozbryzgnęła się we wszystkie strony, prowokując resztę mieszkańców do zrzucania ubrań. W jednej chwili zostaliśmy w samych slipach.

- Na co czekacie?! – krzyczał do nas z drugiego końca celi. Wody było zbyt mało, aby w niej pływać, ale wystarczyło odepchnąć się nogami od ściany i ślizgać po podłodze. Niewiele, jednak dla kogoś, kto o basenie mógł przez najbliższe dwadzieścia lat wyłącznie marzyć, to i tak było wiele.

- Dawaj Różyk! – zachęciłem przyjaciela. Doczekaliśmy się wreszcie przeniesienia do jednej celi. Dawało to okazję do rozmowy dłuższej niż godzina spaceru oraz całej palety zdarzeń, jakimi diabły malują szarą rzeczywistość.

Tobiaszowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

- Uważaj! – krzyknął, skacząc z łóżka. Ryzykowny manewr przyniósł rozbryzg, który zmoczył wszystko dookoła, ale przyniósł uznanie i kilku naśladowców. Jeden z nich postanowił, że rzuci się do wody z górnego łóżka.

- Marta do mnie napisała - Różyk podpłynął do mnie. - Jasiowi spodobał się twój wiersz. Masz talent.

Poczęstowałem go kwaśnym uśmiechem.

- Mam dożywocie – odparłem. – Nawet gdybym był pieprzonym Mickiewiczem, nic tego nie zmieni.

- To nieprawda i sam o tym wiesz – powiedział i przetoczył się na drugi koniec cel.

- O czym ty w ogóle mówisz? – rzuciłem, gdy obaj dotarliśmy do przeciwległej ściany. – Zdechnę za murem. To jest prawda.

- Nie, bo dożywocie nie oznacza, że będziesz tu siedział do końca życia.

- A co takiego oznacza?

- To, że masz kilka lat na dotarcie do tego, co chciałbyś z tym życiem zrobić. Możesz spróbować czegoś innego.

Spojrzałem na niego, jak na wariata. Wiedziałem już, że jest nieco inny niż pozostałe diabły, ale nie rozumiałem, co chce mi powiedzieć. Jego słowa brzmiały jak morały bardziej cierpliwych cerberów i budziły nieufność.

Uderzyłem pięścią w wodę.

- A niby czego mam próbować? – zacisnąłem zęby. – Pisania wierszy? Równie dobrze mógłbym tańczyć walca.

Różyk spojrzał na mnie ze spokojem. Nigdy go nie tracił. Przez ten cały czas, kiedy razem siedzieliśmy, albo spotykaliśmy się na spacerze, świetlicy, czy więziennej kaplicy, nie widziałem, żeby stracił panowanie nad sobą. To również różniło go ode mnie i od reszty diabłów. Nam wystarczała zaledwie iskra, aby zainicjować wybuch.

- O tym akurat nie pomyślałem, ale możesz spróbować – uśmiechnął się, a ja miałem ochotę przytrzymać mu głowę pod wodą. - Możesz też ćwiczyć coś, czego nie ma tutaj nikt inny.

- Bzdura.

- Czyżby? Tutaj każdy coś robi. Eryk szkatułki ze słomy, Robson te swoje figurki z gliny, a słyszałem, że na drugim, na recydywie ktoś zrobił szachy z chleba – zadowolony wymieniał po kolei. – Jedni zamieniają swoje ciało z chodzący obraz, inni sami malują obrazy. Ty nie umiesz rysować, ale napisałeś już dwa wiersze. Równie dobrze możesz spróbować robić to dalej. Dopóki tego nie zrobisz, nie dowiesz się na co cię stać.

Nie lubiłem, kiedy ktoś zbijał moje racje swoimi, więc tylko nerwowo się zaśmiałem. Odepchnąłem też Różyka i popłynąłem na środek celi.

- Możesz przede mną uciekać, ale ja się nie mylę – krzyknął, zanim zdążyłem się schować pod wodą. Po kilkunastu minutach nasz brodzik przypominał bardziej bajoro, lecz nie miałem zamiaru go już słuchać.

Na szczęście nie musiałem tego już robić. Nasza radość z basenu nie trwała długo. Na korytarzu rozległy się odgłosy kroków i ktoś podniósł blachę, która zasłaniała wizjer. Czujne oko nie mogło dostrzec co takiego sprawiło nam radość i to niewątpliwie obudziło jego niepokój. Śmiech diabłów nigdy nie wróżył niczego dobrego, więc zamek zazgrzytał pod naporem klucza.

Hitler niemal przewrócił się pod naporem wody.

- Co to kurwa ma znaczyć?! – próbował przekrzyczeć łoskot wody, której strugi wylewały się właśnie na korytarz. – Co wy chuje tutaj zrobiliście!?

Zobaczyłem, że Różyk podchodzi do niego i pomyślałem, że nie jest to najlepszy pomysł. Hitler stał w rozkroku, mokry od stóp do pasa, a jego twarz przypominała rozgrzany piec w hucie Warszawa. To nie mogło się dobrze zakończyć.

- A na co to dowódcy wygląda? – Tobiasz spytał z uśmiechem.

- Wygląda mi to na wpierdol, który zaraz dostaniesz – Hitler wrzasnął i wyciągnął po niego rękę.

Scenariusz przewidywał w takich wypadkach tylko jedno. Różyka czekała doba, albo więcej na „termosie", gdzie pozostali cerberowie uczyliby go prawa i sprawiedliwości. Spięty pasami czekałby aż spoceni mężczyźni, uważający się zapewne za chodzące wzory moralności, zmęczyliby się okładaniem go swymi uczciwymi pięściami. Niektórzy zarzucą mi w tym miejscu blagę, albo chociaż przesadę, ale dwadzieścia lat temu nikt nie przejmował się „humanitarnymi zasadami odbywania kary". Przemoc stosowała każda ze stron tutejszego życia, była ona czymś naturalnym, niczym oddech i nie wzbudzała żadnego zdziwienia.

Niekiedy jednak, chociaż rzadziej niż powinien, Klasztor okazywał nam względy. Nie odgadłem, skąd się to brało. Może jego mury miały czasami dość krzyków, a może losowały taki dzień, spośród trzystu sześćdziesięciu pięciu innych. W każdym bądź razie usłyszeliśmy wtedy z drugiego końca zalanego korytarza głos innego cerbera.

- Co to ma znaczyć, sierżancie? – do celi podszedł dowódca zmiany z paroma innymi strażnikami. Zajęci pływaniem w naszym basenie nie zauważyliśmy, że za oknami zrobiło się znacznie ciemniej. Szarówka przyniosła wybawienie w postaci wieczornego apelu.

- Melduję, że te parchy zalały wodą cały korytarz – powiedział zdyszany Hitler. Jego spojrzenie wciąż obiecywało Różykowi męczarnie, ale sprawa miała się o niebo lepiej niż minutę wcześniej.

- To widzę, sierżancie – dowódca zrobił krok do przodu i omiótł nas wzrokiem. – Tak wam było gorąco, panowie? – spytał, wyraźnie rozbawiony.

- Tak, panie dowódco – Różyk stał najbliżej i odważył się odezwać. – Jest sierpień, pół dnia przenosiliśmy swoje rzeczy i postanowiliśmy się trochę odprężyć.

Cerber przestał się uśmiechać.

- Ty wiesz Różewicz, że znam twojego ojca? – spytał nieco smutniejszym głosem. – To był całkiem dobry cerber, a przez to co zrobiłeś musiał odejść ze służby.

Różyk ściągnął usta. Po jego minie widziałem, że ma ochotę coś powiedzieć, ale jedynie opuścił głowę. Okazana przez młodego diabła skrucha bywa niekiedy bardziej opłacalna niż brawura. Tamten wieczór potwierdził, że czasami lepiej jest pochylić głowę.

- Niech im pan wypisze wnioski, sierżancie – dowódca odwrócił się do Hitlera.

- Jak to wnioski? – zdziwił się zaczerwieniony cerber. – Ja wolałbym tych gnojów…

- Powiedziałem, że mają być ukarani – dowódca zmiany postawił na swoim. – Wystarczy, że zbiorą wodę z korytarza. Na mojej służbie nikt nie będzie się nad nikim znęcał.

Pamiętam to jak dzisiaj, że policzki Hitlera napuchły, jakby miały zaraz wybuchnąć. Stary cerber musiał jednak ustąpić, chociaż wiedziałem, że zemści się przy najbliższej okazji. Dla nas najważniejsze było, że tej nocy ani Różyk, ani żaden z nas nie znalazł się na dźwiękach.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że po tamtym zdarzeniu pozycja Tobiasza znacznie wzrosła. O ile zajście ze świetlicy, gdzie jako jedyny zachował się jak człowiek, nie budziło większych wzruszeń, to postawienie się najgorszemu cerberowi w całym Klasztorze z pewnością zyskało mu szacunek. Dekalog życia na wysypisku; na pierwszy rzut oka rządzą proste i okrutne zasady, ale za murem tylko one pozwalają zachować godność, a czasami też rozsądek.

Teraz opowiem wam o pewnej sprawie, którą Klasztor żył przez wiele tygodni. Słyszał o niej każdy z ponad ośmiuset skazańców; wszyscy funkcyjni, sprzątający i kajfusi, opiekunowie świetlic, kościelny organista czy bibliotekarze. W naszej szczęśliwej gromadzie nie można było ukryć niczego, a dzikie wrzaski, rozrywające przez ten czas ciszę nocy zakłócały sen zarówno cerberów na dyżurkach, jak i mieszkańców okolicznych domów. Przypadek Kruka rozpatrywano chyba na każdym z oddziałów, mówiono o niej na

spacerach i świetlicach, rozpisywano się o niej również w naszej poczcie.

Właściwie to wszystko zaczęło się od niej. Wspominałem już o całym systemie nieformalnych połączeń, światłowodach postronków, sznurków, nazywanych przez nas „chabetami", powróseł i kordonków, którymi przekazywano sobie wiadomości. Mechanizm działał w całym Klasztorze, pomimo wysiłków cerberów, na przekór wszystkim zasiekom, kratom i drutom. Istniał, bo my tego chcieliśmy; na miejsce każdego zerwanego połączenia pojawiało się pięć innych, diabły nie ustawały w tkaniu tej sieci, właściwie w każdej celi siedział ktoś, do kogo obowiązków należała rekonstrukcja jej oczek.

W naszej celi zajmował się tym Różyk. Miał małe dłonie, to wystarczyło. W innym życiu szczupłe i zwinne palce pomogłyby mu być może w wygraniu konkursu chopinowskiego, w Klasztorze przydawały się tylko do jednego. Różyk wyplatał chabety, z którymi nie mogły równać się żadne inne. Z kawałka parcianego sznurka potrafił wyczarować prawdziwe cuda, wiem co mówię, bo cały czas mam podstawkę pod kubek, bogactwem wzoru przypominającą płatek śniegu. W Klasztorze taki talent nie mógł się zmarnować. Serwetki, makatki i gobeliny Różyka zamieniały się na machorkę i kawę w chwilach, w których zawodziły wszystkie inne sposoby.

Pewnego dnia, mogło to być gdzieś na początku stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, usłyszeliśmy pukanie w ścianę. To nie obudziło niczyjego entuzjazmu. Na zimę życie w Klasztorze zamierało, nikt nie chciał wystawiać się na wiatr i śnieg, które wpadły do środka tuż po otwarciu okna. Wraz z nimi dało się słyszeć dobrze znane wezwanie.

- Temat do was idzie! Zróbcie połączenie.

Różyk tylko sobie znaną ekwilibrystyką sprawił, że już po chwili mogliśmy zamknąć okno. Temat, czyli pokryty folią kawałek kartki nosił jedynie numer celi, co oznaczało, że napisano go do wszystkich.

- Z pierwszego, od Krokusa – Różyk odwinął folię i przeczytał drobne pismo.

- No i co tam nasmarował nasz Krokusik – spytałem z uśmiechem, który zniknął, kiedy zobaczyłem wyraz twarzy Różyka.

- Masz, sam przeczytaj – odparł blady jak prześcieradło. Siedzieliśmy ze sobą wystarczająco długo, abym

domyślił się, że nie dzieje się tak bez powodu.

Zabrałem kartkę i już po chwili zrozumiałem, co wywołało jego minę.

- Dzisiaj Kruk schodzi z izolatek – oznajmiłem reszcie celi. – Krokus jest tam kajfusem i usłyszał, że dadzą go na górę.

- Do nas? – zapytał ktoś z boku. Nie musiałem widzieć jego twarzy. Wystarczył mi strach, jaki usłyszałem w głosie. Najmłodszy z naszej wspólnoty, Jakub Grzęda trafił do Klasztoru za wybicie kilku szyb w samochodach. Szczenięcy wybryk kosztował go dwanaście miesięcy przymusowych wczasów, z których pierwsze tygodnie spędził z Krukiem w jednej celi.

- Tego Krokus nie napisał, ale wątpię, że wychowek da go tutaj – rzuciłem nie do końca przekonany. Z cerberami nigdy nic nie było oczywiste. Wiedzieliśmy, że Kruk ma ciężką rękę do świeżaków, co w Klasztorze nie było niczym szczególnym. Teraz mówiło się jednak, że przesadził i zgwałcił jednego z nich.

Różyk spojrzał na mnie.

- A co zrobimy, jak go jednak tutaj wrzuci?

- Jak to, co my zrobimy? – nie wiedziałem, co ma na myśli. – Zajmie jedno z koi i będzie sobie siedział.

Odszedłem i położyłem się na łóżko. Za dwa, lub trzy tygodnie miałem jechać w transport. System karny nie znosi, gdy jakiś diabeł przyzwyczai się zbytnio do swojego piekła i innych diabłów. Przemieszczenia pomiędzy poszczególnymi wysypiskami mają wzbudzać niepokój i przeciwdziałać rutynie, chociaż moim skromnym zdaniem są tylko sposobem na pozbycie się kłopotu, jakim możesz się stać, kiedy poznasz więzienie lepiej niż cerberowie.

- Chyba nie mówisz poważnie – Różyk usiadł naprzeciwko mnie. – Facet dwa tygodnie temu zgwałcił niewinnego chłopaka.

- Daj spokój, Różyk. Dobrze wiesz, że w Klasztorze nie ma niewinnych.

- Winny, czy nie, nikt nie zasługuje, żeby go zgwałcić. Nie jesteśmy pieprzonymi zwierzętami.

- Powiedz to Hitlerowi i jego koleżkom – podniosłem się na łokciu. Nie chciałem, żeby pozostali mieszkańcy usłyszeli naszą rozmowę. Kruk był dla wielu prawdziwym autorytetem. – Posłuchaj mnie uważnie, Tobiasz. Facet dobrze wie, kogo może dotknąć, a kogo nie może. Nie przyczepi się ani do mnie, ani do ciebie. Tyle mi wystarczy. Siedzisz już ponad rok, to powinieneś wiedzieć, że za murem najlepiej dbać o własny interes. Nie jesteś Jurkiem Owsiakiem, ani Anną Dymną.

- Ale nie przestałem być człowiekiem – rzucił Różyk, robiąc minę, która oznajmiła mi nadchodzące kłopoty. – Nie zamierzam patrzeć, jak krzywdzi kolejnego chłopaka.

- Żaden z nas nie jest święty – odparłem, chociaż w głębi serca całkowicie się z nim zgadzałem. – Przypomnij sobie, co sami czasami robimy. Nasze świeżaki też mają tutaj ostrą szkołę.

- Jakoś nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z nich musiał prać ci gacie, czy skarpetki, albo walić wieczorem konia –powiedział Różyk. – Tego tutaj nigdy nie było i nie musi być. Przypominam ci, że to Kruk wjedzie do nas pod celę, a nie my do niego. Musi się przystosować do naszych zasad.

Podniosłem do góry brwi. To, co mówił Różyk nie było do końca pozbawione logiki. Takie były zasady więziennego życia. Każdy, nawet najsilniejszy z diabłów, musiał podporządkować się hordzie.

Chyba, że pełnił rolę jednego z jej przywódców.

- Dla połowy tych małolatów Kruk jest bogiem – powiedziałem. – To dzięki niemu mają dostęp do trawki, gorzały i całej innej masy rzeczy, których ty im nie zapewnisz. Jak myślisz, dlaczego wymigał się od zarzutów i spędził tylko dwa tygodnie w izolatce? Ma układy z połową cerberów, płaci im za przymykanie oczu na pewne sprawy. To nieformalny władca Klasztoru, nie jakiś małolat, którego możesz postawić na parkiet. Za kilka kartonów szlugów kupi kogoś, kto zrzuci cię ze schodów, albo przecweli.

- Słyszałem, że ty się nikogo nie boisz – odparował, jakby nie zrozumiał tego, co właśnie mu powiedziałem.

- Strach nie ma z tym nic wspólnego, jestem po prostu rozsądny. Nie zamierzam rozpoczynać wojny, której nie będę mógł wygrać.

- Myślałem, że nie jesteś takim samym konformistą jak cała reszta, ale widzę, że się myliłem – Różyk machnął ręką. – Może rozwiń Krukowi czerwony dywan. To pasowałoby do ciebie bardziej niż ta cała gadka o zasadach i honorze.

W jego oczach widziałem prawdziwą pogardę i nie wiedzieć czemu poczułem wstyd. Palące uczucie, jakie czułem wcześniej może z raz lub dwa razy, w sytuacjach, które nie miały z więzieniem niczego wspólnego.

- Słuchaj, Różyk, raz jeszcze wytłumaczę ci zasadę tutejszego życia, bo widzę, że masz problem z jej zrozumieniem – zniżyłem głos do szeptu, co trochę mnie kosztowało. – Za murem nie ma miejsca dla tych, którzy podnoszą swoje głowy zbyt wysoko. Oczywiście trafiają się tacy, którzy myślą, że są niezniszczalni, trudni do zajebania, nieśmiertelni, wręcz niezatapialni jak pierdolony Titanic. Każdy z nich trafia jednak wcześniej, czy później na swoją górę lodową. Rzecz w tym, że ja nie mam ambicji stać się taką górą dla Kruka.

Czasami człowiek, z różnych powodów, nakłada na twarz maskę, po czym ta maska wrasta mu w twarz i nie sposób zedrzeć jej bez zadawania sobie ogromnego bólu. Sądzę, że w tamtej chwili nie było mnie stać na takie poświęcenie. Nie chciałem odczuwać niczego poza własną wygodą i chociaż podzielałem opinię Różyka, nie miałem chęci wpaść w kłopoty przed samym transportem.

- Szkoda, bo uważałem cię za kogoś zupełnie innego – Tobiasz rzucił mi, zanim wstał z łóżka. – Ja tak tego nie zostawię, możesz być pewny. Jeżeli wychowek wrzuci tutaj Kruka nie pozwolę, żeby złamał życie jeszcze komuś. Jeżeli będzie trzeba rozpieprzę mu łeb, nawet gdyby miało mnie to kosztować kolejną ćwiarę.

Na jego (i moje) szczęście Wojciech Drut, czyli nasz wychowawca, nie zdecydował się skierować Kruka do naszej celi. Nie znałem powodów tej wspaniałomyślności i przyznam, że niewiele mnie one ob-

chodziły. Wystarczyło mi problemów, jakie pojawiły się na oddziale wraz z przybyciem samozwańczego króla Klasztoru. Może się wydawać, że prawdziwymi władcami więzienia są strażnicy, ale ich panowanie nigdy nawet nie zbliżyło się do tego, jakie posiadał Sebastian Krukowski.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym Kruk miał czterdzieści jeden lat, z których ponad połowę spędził za więziennym murem. Życie w Klasztorze poznawał w czasie, gdy siatkarze Wagnera zdobywali w Montrealu olimpijskie złoto, a robotnicy w Radomiu przebiegali przez „ścieżki zdrowia". Pierwszy wyrok skończył odsiadywać, gdy świat poznał Wałęsę, ale wrócił jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Potem wychodził i wracał jeszcze kilka razy, a trzeba wiedzieć, że ówczesne więzienie nie było tym, co usiłują ukazać filmy w postaci „Symetrii". Gwałty i pobicia należały do repertuaru codzienności, właściwie ją tworzyły. Nikt, a już w szczególności cerbere, nie przejmował się losem diabłów, które nie były dość silne, albo dość sprytne, żeby nie stać się ofiarą.

Kruk nie zamierzał nią zostać. Wątpię, że był gejem, przynajmniej nie takim, którzy dzisiaj pojawiają się na paradach równości i wysyłają całusy chłopcom z ONR-u. Nie. Kruk był młodym diabłem, który przyłączył się do hordy, gdy ta wydała wyrok na jakiegoś nieszczęśnika. Kogoś, kto nie potrafił i nie umiał się obronić, albo złamał jedną z tutejszych zasad. Być może brzydził się nawet za pierwszym razem, może ktoś inny musiał przełamać jego opór, zaszantażować, lub zagrozić: „Masz dwa wyjścia. Albo walisz go razem z nami, albo sam możesz smarować tyłek". Dwadzieścia trzy lata później to wszystko nie miało znaczenia. Klasztor może pozostał zbiorem klatek i siedzących w nich bestii, ale pewne rzeczy uległy zmianie.

Niestety inne pozostały. Dla Kruka Klasztor pełnił rolę drugiego domu; znał najstarszych cerberów, właściwie tworzył pomost pomiędzy nimi, a poszczególnymi hordami diabłów. Niewiele rzeczy mogło odbyć się bez jego wiedzy i błogosławieństwa.

Przekonaliśmy się o tym po niecałym tygodniu.

- Spacer, spacer, spacer…. – rytmiczne okrzyki mieszały się ze stuknięciami młotka, którym Hitler wybijał kolejne skoble.

Ubraliśmy się w to, na co w swojej łaskawości zezwalał regulamin. Na zewnątrz było piętnaście stopni poniżej zera, ale żaden z nas nie miał kurtki. Zielone kubraki oczekiwały na wieszakach na korytarzu tuż przed wejściem na schody i zwykle nie wystarczało ich dla wszystkich. Jeżeli nie byłeś dość szybki, albo nie miałeś wystarczająco twardych łokci… cóż – dowiadywałeś się co czuje himalaista, którego zaskakuje nagłe załamanie pogody tuż przed wdarciem się na wierzchołek Mount Everestu. Ktoś powie pew-

nie, że przesadzam, że panują tam dużo niższe temperatury, ale wytłumaczcie to komuś, kto musi spędzić na mrozie pełną godzinę, a na grzbiecie ma cienką marynarkę i koszulkę.

Dość szczęśliwy traf sprawił, że tym razem kurtek nie zabrakło. Każdy mógł przyodziać kubrak, który pozwoliłby się schować pomiędzy drzewami w Białowieży, ale wśród szarości murów wyróżniał całą gromadę. Odziane w zieleń diabły zeszły po schodach, na których od czasu do czasu zdarzały się nieszczęśliwe wypadki. To była niebezpieczna droga, szczególnie, gdy ktoś zapomniał o swoim długu, lub co gorsza włączył w nasze sprawy cerberów. Tak delikwent, jeżeli nowi przyjaciele nie zdołali go w porę ochronić, potykał się wtedy i ku uciesze pozostałych spadał na sam dół. Na klatce było ciemno, wąskie okna z kratami nie przepuszczały za wiele światła i nikogo nie dziwiło, że żaden z nas nie widział ani wypadku, ani nawet twarzy kolegi, który stał tuż obok. „Stromo było dowódco, może się poślizgnął, to się przecież zdarza", takie tłumaczenie wystarczało strażnikom w zupełności.

Tamtego dnia nikt się nie potknął i nie spadł ze schodów, a mimo to dało się wyczuć atmosferę napięcia. Trudno ją wytłumaczyć; więźniowie po prostu wiedzą, że coś ma się wydarzyć. Pozdrowienia były o oktawę niższe niż zazwyczaj, spojrzenia mniej rozbiegane, skupione na najbliższych twarzach, nie na całym otaczającym świecie.

Wszyscy czekali na spotkanie z Krukiem.

Król Klasztoru dołączył do nas po paru minutach. Nikt nie wiedział, dlaczego nie spotkaliśmy go na korytarzu, ale teraz nie miało to znaczenia. Wystarczyło, że wszedł na spacerniak. Przypominał rekina, do którego mniejsze ryby lgną w nadziei na pożywienie się resztkami. Więźniowie lubią oceniać się jako niezależnych, bronią się przed próbami narzucenia im przez system penitencjarny jakiegokolwiek jarzma, gotowi są wręcz umrzeć za obronę własnego zdania. Jednocześnie składają hołdy ludziom pokroju Kruka, klękają przed nimi w fałszywym przekonaniu przynależności do najsilniejszej z hord.

W Klasztorze nikt nie miał wątpliwości, kto jest przywódcą tego stada. Nikogo nie dziwiło więc, że znaleźli się tacy, którzy pragnęli zostać jego faworytami. Kruk przywoływał ich do siebie szarym spojrzeniem i leniwym drgnięciem głowy. Podchodzili, jeden po drugim, ściskając jego dłoń z niemal nabożnym szacunkiem.

- Co ci to przypomina? – Różyk chuchnął w zmarznięte dłonie. – Facet robi z siebie drugiego Vito Corleone.

- Albo Domenico Clericuzio – odparłem i obaj wybuchliśmy śmiechem.

Książki Mario Puzo należały do naszych ulubionych. Mafijne porachunki, zasada omerty, przemoc, narkotyki i piękne kobiety – diabłom z Klasztoru nie trzeba było nic więcej.

- Ciekawe dlaczego wyszedł dopiero dzisiaj – powiedział Tobiasz. – Założę się o ramkę szlugów, że obawiał się naszej reakcji.

Patrząc na Kruka można było powątpiewać w te słowa. Sebastian Krukowski z całą pewnością nie należał do więźniów, którzy mogli się czegokolwiek lękać. Ważył co najmniej dziesięć kilogramów więcej niż każdy z nas, był potężnym mężczyzną o mięsistej twarzy i czerwonawej, łysej czaszce. Jego dudniący głos, przerywany raz po raz wybuchami rechotu, niósł się po całym spacerniaku. Tak nie wyglądał ktoś, kto się boi.

- Sądzę, że załatwiał raczej swoje sprawy z gadami – odpowiedziałem. – Nie jest głupi, dobrze wie, kto tak naprawdę tutaj rządzi. Odczekał parę dni, pogadał z tym, z kim trzeba i odzyskał swoją koronę.

- Tak nie powinno być.

- Nie powinno, ale jest i nie widzę potrzeby, żeby to zmieniać. Dopóki nie wtrąca się w moje życie, ja nie będę wnikał w jego.

Kątem oka zobaczyłem, jak Kruk nachyla się nad jednym ze swoich wasalów. Nie miałem pojęcia o co go spytał, ale patrzył przy tym w naszym kierunku, więc nietrudno było się domyśleć. Po chwili usłyszałem swoje imię i chcąc, nie chcąc, musiałem do niego podejść.

- Siemanko, dożywotniak – wycedził przez zęby. – Co tam słychać?

- Siemanko, wszystko si, jak u mnie.

Kruk rozejrzał się dookoła.

- Zróbcie nam trochę miejsca – rzucił do armady małych rybek. – Chciałbym tu trochę pokołować z dożywotką.

Stado rozproszyło się, nie kryjąc swojej zazdrości.

- Słyszałem coś niecoś o tobie – zaczął Kruk z uśmiechem. – Jesteś w porządku.

Kiwnąłem głową, bo i co miałem odpowiedzieć. Takie rzeczy nigdy nie miały za murem znaczenia. Tutaj każdy było w porządku do chwili, kiedy diabły nie zdecydowały, że jest inaczej.

- Przydałbyś mi się, chłopaku – niezrażony moim milczeniem Kruk mówił dalej. – Moglibyśmy razem zaprowadzić na oddziale trochę spokoju.

- Trochę spokoju? – powtórzyłem za nim, udając zdziwionego. Wiedziałem, czym jest ów „spokój". Oznaczał on całkowite przyporządkowanie Krukowi, płacenie mu daniny po każdej paczce i widzeniu, czy kupowanie od niego towaru z przemytu. – Chyba nie jestem zainteresowany.

Kruk zmrużył oczy, ale na jego twarzy wciąż majaczył się cień uśmiechu.

- Przemyśl to dobrze, chłopaku – splunął na śnieg. – Mógłbym ci tutaj pomóc w ułożeniu życia.

- Ja tam nie narzekam na swoje życie. Jest dobrze.

- Ale zawsze może być lepiej.

- Nie ma potrzeby – odparłem. – Zresztą za kilka tygodni jadę w transport. Drut już mi to przepowiedział.

- Mówisz o naszym wychowku? – Kruk zarechotał tak głośno, że w kilku oknach, mimo mrozu, pojawiły się zaciekawione głowy. – Ten chłop to dla mnie żaden problem. Jeżeli truknę mu, że masz tutaj zostać, to zostaniesz.

Czy mnie to zdziwiło? Ani trochę. Jak każda inna rzecz w Klasztorze, również i transport zależał wyłącznie od kaprysu cerberów. To jedno nie zmieniło się przez lata, a wręcz stało się narzędziem dyscypliny: „Nie podoba ci się u nas, gnoju?", „Zobaczymy jak dasz sobie radę w Sztumie, albo w Strzelcach. Tam cię nauczą szacunku".

Nikogo z cerberów nie martwiła rozłąka z rodziną, matką, ojcem, bratem, żona, czy dziećmi. Żaden z panów naszego oddechu nie przejmował się przewróceniem i tak dość podłego życia do góry nogami, koniecznością nawiązywania całkiem nowych znajomości, odnajdowania swojego miejsca w układach, jakie rządzą każdym wysypiskiem.

- Nie, dzięki, myślę, że dam radę – wyduszałem z siebie jedno słowo po drugim. Czy chciałem zostać w Klasztorze? Oczywiście, tutaj znałem wszystkich, miałem znajomych i wiedziałem (przynajmniej w zarysie) czego mogę się spodziewać. Nie bałem się innego wysypiska, ale jak każdy długoterminowy, ceniłem sobie spokój. Nagłe zmiany sprzyjają równie pospiesznym wyborom, co nieraz udowodniłem sobie w przeszłości. Teraz nie miałem już takiej potrzeby.

- Jak tam sobie chcesz – Kruk pożegnał mnie klepnięciem w plecy. – Gdybyś jednak zmienił zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Dudniący śmiech towarzyszył mi do końca spaceru. Król Klasztoru nie potrzebował mnie. Na jego dworze nie brakowało szambelanów, podczaszych, kanclerzy i heroldów. Otaczała go gwardia wiernych paladynów, lecz jak wielu innych skazańców wyznawał prostą zasadę posiadania dla samego posiadania. „Kto pragnie więcej, traci to, co ma", nauczał w swych bajkach Ezop, chociaż wątpię, aby Sebastian Krukowski znalazł czas, aby przeczytać którąkolwiek z nich.

- Fajnie, że od niego odbiłeś – rzucił mi Różyk, gdy wróciliśmy do celi. – Stać się na coś więcej niż latanie dla tego gnoja.

Skwitowałem jego wyznanie uśmiechem. Nie chciałem, żeby zobaczył, że nie jestem tak pewien swojego

wyboru. Więzienie uczy lawirowania pomiędzy tym, co słuszne, a tym, co się opłaca. W styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, w Klasztorze, opłacało się wkraść w łaski Sebastiana Krukowskiego. Wzgardzenie jego względami mogło kosztować o wiele więcej, o czym dowiedzieliśmy się już wkrótce.

Kruk nie tracił czasu. Od naszej rozmowy na spacerze nie minął nawet tydzień, a piąty oddział, do tej pory zachowujący pewną niezależność, przeistoczył się w jego osobistą domenę. Okrzyki, ulatujące przez okna wraz z porywami zimowego wiatru, nie pozostawiały większych wątpliwości. W każdej celi, nawet w naszej stodole, znalazło się paru innych szczęśliwców, którzy nie oparli się jego urokowi. Nędznicy za murem nie mieli zbyt wielu potrzeb, a Kruk siedział długo i wiedział, jak dotrzeć do serc większości diabłów. Papierosy, kawa, trawka, spirytus, kasety z filmami porno – za pomocą takiej waluty można było kupić niemal każdego.

Myślę, że Kruk nie zadał sobie trudu poznania teorii hierarchii potrzeb Maslowa. Nie znałem go zbyt długo i nie sądzę, aby zgłębił tezy jakiegokolwiek psychologa. Miał jednak w sobie ten niezbadany spryt i wyczucie, dzięki któremu zdobywał umysły i serca diabłów. Niektórych tak, jak mnie, w trakcie rozmowy, kiedy udawał przyjaciela, innych przekupywał, lub zastraszał. W ciągu dwóch tygodni od zejścia z izolatek sprowadził też na oddział najwierniejszych gladiatorów. Teraz nie potrzebował już niczyjej pomocy, chociaż dostrzegłem, że czasami patrzy w moją stronę. Niezbyt pewni siebie autokraci mają bowiem tę charakterystyczną cechę, że w każdym, kto im nie ulega, widzą zagrożenie.

Na razie jednak nie musiałem się tym przejmować. Od dnia, w którym udało mi się sklecić kilkadziesiąt wersów dla syna Różyka, coś (a właściwie ktoś) nie dawało mi spokoju. Tobiasz zamienił się w rzep, który przywarł do mnie i pomimo wysiłków, jakie podejmowałem, żeby się go pozbyć, nie miał zamiaru zniknąć. Nasza rozmowa z dnia, kiedy zamieniliśmy celę w basen, powtarzała się mniej więcej raz w tygodniu i dla świętego spokoju zacząłem zgłębiać swój „talent".

Głęboko pod materacem trzymałem zeszyt z próbami, pełen skreśleń oraz przepisywanych bez końca fraz. Nie zaglądałem do niego zbyt często; życie młodego diabła kusiło mocniej niż składanie jambów, czy telestychów. Oprócz tego musiałem dbać o swoją reputację, a nic nie niszczyło jej bardziej niż odmienność. Jedynym człowiekiem, z którym dzieliłem się wrażeniami z tej niewdzięcznej i wyboistej podróży, był rzecz jasna Tobiasz. Po pierwsze to jemu zawdzięczałem godziny i dni spędzane na gryzieniu długopisu i wpatrywaniu się w wersy, które za nic nie chciały zamienić mnie w Herberta, Borowskiego, czy Wojaczka. Po drugie Różyk jako jedyny w naszej celi nie tylko wypożyczał, ale i czytał książki.

- Widzę, że się nie pomyliłem – mówił, kartkując mój zeszyt. – W tych słowach jest inny człowiek. Ktoś, kto z pewnością nie spędzi reszty życia w więzieniu.

Pisanie wierszy za murem nadal przypomina mi taniec nago na środku Alei Jerozolimskich w godzinach szczytu. Nie jestem typem ekshibicjonisty i nigdy nie zdecydowałbym się wystąpić w centrum Warszawy, jednak słowa Różyka wystarczają, aby pokonać ograniczenia. Mimo, że minęło już niemal dwadzieścia lat, pamiętam je, jakby tamta rozmowa odbyła się zaledwie przed chwilą.

- Dzięki! – szepnąłem zawstydzony.

- To raczej ja powinienem ci podziękować – powiedział z pełną powagą. – Wiem, ile cię to kosztuje.

- Przecież to nic wielkiego, każdy mógłby coś takiego napisać.

- Zapewniam cię, że nie każdy. To, co piszesz jest tobą bardziej niż sam myślisz. Te wiersze są tą częścią twojego życia, której nie można zmusić do milczenia.

Czy tak dokładnie powiedział? Podobne rozmowy pasują bardziej do wieczorów w bibliotekach, przy kieliszku Chablis lub Chianti, blasku świec i cichym brzmieniu Lany Del Rey. Nie rozgrywają się wśród odrapanych ścian z nalotem grzybni i wpisami poprzednich pokoleń diabłów, więc nie będę miał pretensji, jeżeli w to nie uwierzycie. Sam mam z tym problem. W końcu obaj byliśmy jedynie zabójcami, dla których przewidziane jest tylko jedno piekło. Naszym był Klasztor, jego posępne mury i brak nadziei. Może więc Różyk nie powiedział dokładnie tego, co napisałem, ale próbował tchnąć we mnie ten płomień, którego potrzebują nawet skazani na dożywocie.

I dlatego zapadł mi w pamięć bardziej niż wielu innych.

- Przed tobą długa droga, ale nie możesz się poddawać – mówił dalej. – Sam Tuwim powiedział, że nasze życie to dożywotnia kara śmierci.

Cały Różyk. Wyciągał cytaty, jakby miał je gdzieś zapisane. Ich znajomość nie przydawała się w Klasztorze zbyt często, lecz czasami wyczarowywał je w najbardziej odpowiedniej chwili. Dziwna sztuczka, kilka słów, które pojawiały się jak królik w pokazie zręcznego prestidigitatora.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać – powiedziałem. – Jednego dnia chcesz rozwalić Krukowi głowę, drugiego czytasz moje wiersze i jeszcze udajesz, że ci się podobają. Nie mogę cię rozgryźć.

Zaśmiał się i oddał mi zeszyt.

- Zapewniam cię, że nie jestem pestką i nie ma we mnie nic dziwnego. Ja po prostu gardzę każdym, komu wydaje się, że może upokarzać i bić słabszych od siebie. Trafiliśmy do piekła i nie ma powodu, aby zamieniać je w coś jeszcze gorszego.

- Filozof z ciebie, Różyk – odpowiedziałem z nerwowym uśmiechem. Wiedziałem o sobie więcej, niż chciałem przyznać. Przeszłość zdradzała, że różnica pomiędzy mną i Krukiem nie była aż tak duża, jakbym tego chciał. Być może dlatego podszedł wtedy do mnie na spacerze.

- Najważniejsze, że nie zostałeś w miejscu – zwyczaj odgadywania moich myśli niepokojąco wszedł Różykowi w nawyk. – Nie można zmienić się w jeden dzień, miesiąc, czy rok. Byłbyś głupcem, gdybyś spróbował tego od razu, ale jeszcze większy błąd popełniają ci, którzy nie próbują w ogóle. Jestem pewien, że Kruk zrozumie to szybciej niż sądzisz.

- Jak na razie nic na to nie wskazuje – w moim głosie z pewnością nie rozbrzmiewało podobne przekonanie. – Facet siedzi z tym, z kim chciał, robi interesy i ściąga haracze, a cerbere mają święty spokój.

- Wyręcza ich w robocie – zgodził się Różyk. – Do tej pory nie radzili sobie z małolatami. Nie mogli znaleźć na nas sposobu, więc zatrudnili swojego człowieka.

- Teraz ja poczęstuję cię cytatem: „Jest tylko jedna droga do szczęścia - przestać się martwić rzeczami, na które nie masz wpływu”.

Zaczęliśmy się śmiać. Wybuchy dziwnej, nie uzasadnionej niczym radości, nie są za murem niczym dziwnym, ale pozostali mieszkańcy celi patrzyli na nas jak na wariatów. Ich zdziwienie sprawiło, że śmieliśmy się coraz głośniej. Napad wesołości przerwało dopiero otwarcie klapy, w której pojawiła się twarz Hitlera.

- Widzę, że wam wesoło – rzucił cerber. Nie wiedzieć czemu, ale nasz śmiech wkurzał go bardziej niż życzenia, które od czasu do czasu składano mu w nocy. Facet był jak komunizm; nie wzruszały go nawet najbardziej soczyste obelgi (a diabły umieją popisać się tutaj nie lada talentem). Do szału doprowadzał go natomiast byle uśmiech.

- I z czego kurwa rżycie?! – warknął, widząc, że niewiele sobie z iego robimy.

Różyk próbował się opanować, co udało mu się dopiero po dłuższej chwili.

- Zapewniam dowódcę, że powód leży nieco dalej niż te mury – odparł przez łzy. – Wybraliśmy się na wycieczkę do Nikopolis. Wie dowódca, gdzie to jest?

Twarz Hitlera z koloru dojrzewającej wiśni przeszła w stadium buraka.

- Ty mnie Różewicz lepiej nie wkurwiaj! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Może i twój stary był sobie naczelnikiem, ale ty jesteś zwykłym mordercą. Jeśli powiem, że masz stanąć na baczność, to masz zamienić się w pierdolony słup.

Dostrzegłem, że Różyk zbladł. Wiedziałem, że nie utrzymuje kontaktu z ojcem, ale wspomnienie o nim zawsze wyprowadzało go z równowagi.

- Proszę bardzo – Hitler dostrzegł, że jego cios był celny i odzyskał rezon. – Jak się szanowne panie już wyśmiały, to zapraszam na łaźnię. Dzisiaj może nie odkręcę gazu.

Odniesione zwycięstwo wyraźnie podniosło go na duchu. Zaczął pogwizdywać jakąś melodię. Nie była to może *Horst Wessel Lied*, ale gdzieś pod skórą czułem, że coś jest nie w porządku. Na jego obliczu malowało się wyraźne zadowolenie. Wyglądał jak kot, który właśnie złapał mysz, trzyma ją łapą i oblizuje wąsy.

Przyczyna jego szczęścia stała na łaźni z ręcznikiem, niedbale przerzuconym przez ramiona.

- Siemanko, małolaci! – Kruk odkręcił wcześniej wodę. Wokół niego kłębiły się obłoki pary, a twarz i czaszkę miał jeszcze bardziej czerwone niż zwykle.

Musiał na nas czekać, bo kiedy przyszliśmy kiwnął głową. Hitler zamknął drzwi. Nie wiem, czy umówili się wcześniej, ale gdy przekręcił klucz, z głębi łaźni wynurzyło się jeszcze dwóch mężczyzn. Znaliśmy ich nie gorzej od samego Kruka, chociaż nie przypominam sobie jakie nosili imiona. Dla nas byli Paluchem i Mutantem, gośćmi, którzy dorównywali Krukowi wagą i posturą, chociaż z całą pewnością ustępowali we wszystkim innym.

- Nawet nie wiecie, jak się cieszę z tego spotkania – ciągnął dalej Kruk. Najwyraźniej nie zraził się naszym milczeniem.- Szukam Jakubka. Taki mały, nie widzieliście go przypadkiem?

- A czego od niego chcesz? – usłyszałem głos za swoimi plecami, który oznajmił mi, że Różyk nie zamierza stać z boku.

- Nie wtrącaj się, ćwiarus, w nieswoje sprawy – warknął Kruk. – Jakubek opuścił mnie, jak siedzieliśmy na pierwszym i zapomniał się pożegnać. Gdzie ty jesteś, Jakubek? – rozglądał się dookoła. Młode diabły rozstępowały się pod ciężarem szarego spojrzenia.

Tylko jeden z nich starał się zasłonić najmniejszego z nas.

- A tutaj jesteś, Jakubku! – krzyknął rozradowany Kruk. Mężczyzna ruszył do przodu, a jego przyboczni torowali mu drogę. – Lukam za tobą i lukam, na spacery nie wychodzisz, nie pucujesz się do mnie, a przecież łączyła nas prawdziwa przyjaźń.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – Różyk jako jedyny nie odsunął się z drogi. – Jakubek już z tobą nie siedzi. Nie jest ci niczego winien.

Kruk spojrzał na niego tak, jakby Tobiasz właśnie napluł mu do kawy.

- Ty chyba, kurwa, głuchy jesteś – sączył słowo za słowem. – Ale dobrze, jak ci zależy to odpowiem. Jakubek narobił mi kłopotów. Zanim wychowek go do was przeniósł, naopowiadał mu wiele baśni, a ja kurewsko nie znoszę bajkopisarzy. Mam na nich alergię, co nie chłopaki? – ostatnie zdanie wypowiedział do swoich przyjaciół, którzy kiwali głowami, dopóki nie podniósł ręki.

Tobiasz nie wyglądał jednak na przekonanego. Był od Kruka niższy o dobre dwadzieścia centymetrów i niemal drugie tyle lżejszy, ale nie wydawał się tym przejmować. Na jego ustach błąkał się dziwny uśmieszek, coś, czego król Klasztoru nie miał chyba okazji poznać.

- Wolałbym trochę konkretów – odparł spokojnym głosem. – Jakie bajki opowiedział, jakie miałeś kłopoty? Nie słyszałem, żebyś wcześniej komuś o tym mówił.

Pierś Kruka unosiła się w coraz szybszym oddechu.

- Nie mam nic do ciebie, ćwiarus, ale nie stawaj mi na drodze. Nie chciałbyś chyba się przewrócić na łaźni?

Uśmiech Różyka nadal widniał tam, gdzie przed chwilą. Zrozumiałem, że mój przyjaciel nie ma zamiaru ustąpić.

I że za chwilę będę musiał odpowiedzieć sobie na pewne pytania.

- Widzę, że mnie nie zrozumiałeś, więc powiem drukowanymi: Albo powiesz, co masz do chłopaka konkretnie…

- Albo? – Kruk przerwał mu z ironią.

- …albo zwiń ten ręcznik, namydl go i wsadź sobie w dupę – Różyk dokończył z niezmąconym spokojem.

W filmach o więzieniu w takich momentach czas zwalnia; kadr rozmywa się, kamera ukazuje twarze prześladowców, grymas narastającej wściekłości, zaciśnięte szczęki, a w oddali słychać odgłos nadciągającej burzy. W rzeczywistości reakcja jest szybsza, trwa krócej niż mrugnięcie powiek. Przysiągłbym jednak, że Kruk potrzebował co najmniej trzech mrugnięć, żeby zrozumieć, co Różyk mu właśnie powiedział.

- Zajebię cię, ty kurwo! - jego wrzask poniósł się daleko poza łaźnię. Potem zobaczyłem, jak rzuca się na Tobiasza z pięściami.

- Zapierdolę cię jak psa! – wrzeszczał, wymierzając kolejne ciosy. Patrzyłem na to wszystko jak sparaliżowany, nie mogłem się ruszyć. Różyk wydawał się niknąć pod gradem uderzeń. Próbował robić uniki, ale stał w rogu. Za plecami miał tylko skulonego Jakuba Grzędę i ścianę, która w niczym mu raczej nie pomagała.

I wtedy stał się cud. Cud, o którym pewnie nie przeczytacie w żadnym almanachu sztuki bokserskiej, ale którego nie powstydziłby się sam Muhammad Ali. Opowiadano o nim w Klasztorze i na paru innych wysypiskach, bo wieść o wyczynie Różyka poniosła się daleko poza więzienne mury. Stała się dla nas tym, czym pojedynek w Manili dla każdego znawcy boksu.

Widziałem, jak Różyk upada po jednym z ciosów. Nie miał szans. Musiał o tym wiedzieć. Od samego początku był skazany na przegraną. Teraz wydawało się, że to zrozumiał. Nie ruszał się, co nie powstrzymywało Kruka. Rozjuszony mężczyzna nie miał zamiaru przestać. Nachylił się nad nim i zamierzył do kolejnego uderzenia.

- Przecwelę cię, ty kurwo! – krzyknął, rozpryskując dookoła krople śliny.

Tobiasz poruszył się tak szybko, że pięść Kruka uderzyła w podłogę. Mężczyzna zachwiał się i zawył z bólu. Musiał ją złamać, bo nie zwracał uwagi na Różyka, który wyprowadził najwspanialszy prawy sierpowy, jaki widziałem w życiu. Cios trafił dokładnie tam, gdzie miał trafić. Lekarze nazywają to miejsce nerwem przedsionkowym, który odpowiada za zmysł równowagi. W tamtej chwili Kruk musiał dowiedzieć się o jego istnieniu, bo podniósł się, jakby zdziwiony.

- Nie wierzę, kur…- nie zdołał dokończyć. Jego ciało nagle zamieniło się w coś obcego, martwy przedmiot, który ze wszystkich rzeczy na świecie zapragnął rzucić się na ziemię.

To, co się wówczas wydarzyło nie przynosi mi chluby. Powinienem znacznie wcześniej rzucić się przyjacielowi na ratunek. Do dzisiaj pali mnie rumieniec wstydu, że stałem i patrzyłem tylko, jak Kruk okłada go pięściami. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Przez chwilę, stanowczo za długą, wziął górę więzienny pragmatyzm; bestia zwątpienia i chwiejności.

Potem doskoczyłem do Palucha, który w swoim mózgu poszukiwał ścieżki zrozumienia tego, czego był świadkiem. Mój sierpowy nie mógł równać się z wyczynem Różyka, lecz poprawiłem go kilkoma innymi uderzeniami. Zadawałem je na oślep, jeden za drugim. Nie obchodziło mnie, co stanie się dalej. Palił mnie gniew i wstyd, z przewagą pierwszego, co przełamało nieporadną obronę. Paluch zachwiał się i podniósł ręce w geście poddania, jednak tego dnia w sercach młodych diabłów zabrakło miejsca na litość.

Myślę, że nie trzeba opisywać kolejnych scen z upadku Kruka. Dość powiedzieć, że gdy Hitler i pozostali cerberowie przybiegli mu na pomoc, zarówno on, jak i dwaj paladyni leżeli w kałuży wielu różnych płynów. Nie będzie też sekretem, że panowanie Kruka dobiegło końca na tej łaźni. Któż bowiem bałby się króla, któremu odmawiają posłuszeństwa własne zwieracze? Sebastian Krukowski, z tego, co wiem, nie skrzywdził już nikogo więcej. Góra lodowa, pamiętacie?

Sądzę, że bójka na łaźni przyspieszyła decyzję wychowawcy Druta o wywiezieniu mnie z Klasztoru. W tydzień później siedziałem w „kabarynie", jak nazywaliśmy ciężarówkę, która służyła cerberom do przewozu diabłów. Nie wiedziałem dokąd mnie wiozą. „Zobaczysz, jak dojedziesz" odpowiedział jeden z cerberów, mocujący się z paskiem od strzelby. Ilość arsenału, jaki ze sobą zabrał wystarczyłaby do wystrzelania połowy Klasztoru i widziałem, jak żałuje, że nie może z niego korzystać na co dzień.

Moje pożegnanie z Różykiem upłynęło bez większych wzruszeń. Byliśmy diabłami; przeszłość, która krwawi życiem drugiego człowieka jasno określa reguły zachowania. Nie powiem jednak, że nie było mi żal rozstawać się z jednym z bardziej wartościowych ludzi, jakich spotkałem za murem. Na pewne rzeczy człowiek nie ma tutaj jednak wpływu. Kiedy twoje życie ma zakończyć się na wysypisku, musisz nauczyć się je przyjmować i próbować ułożyć. Sprzeciw, czy walka kosztują bowiem o wiele więcej, niż zraniona duma. To rzecz niełatwa, ale im prędzej ją zrozumiesz, tym łatwiej będzie ci przejść przez to miejsce.

Na szczęście nie żyliśmy w średniowieczu i już po miesiącu od przybycia na nowe wysypisko, dostałem od Różyka list. Nie wiem, skąd dowiedział się, że trafiłem do Radomia, lecz przyznam, że nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Wystarczyło mi, że widzę jego drobne pismo i chociaż przez chwilę mogę przenieść się z powrotem do Klasztoru. Bądź, co bądź, to miejsce było moim domem przez ponad trzy lata.

Pamiętam, że niecierpliwe palce obeszły się z kopertą w sposób pozbawiony jakiejkolwiek delikatności. Nie będę też silił się na streszczenie tamtego listu. Wiem, że Różyk nie obrazi się o przytoczenie go w całości:

Cześć Dożywotka!

Pewnie ucieszysz się, że zdołałem naskrobać te kilka słów, zanim pozbierałeś własne myśli. Nie będę tracił czasu na wymienianie imion tych, którzy zaglądają mi teraz przez ramię i chcą przesłać pozdrowienia, dlatego napiszę, że pamiętamy i wspominamy Cię tutaj wszyscy.

Tyle wystarczy, prawda? Nie ma potrzeby roztkliwiać się nad okrutnym losem i paroma innymi rzeczami. Nie robiliśmy tego, będąc jeszcze jedną szczęśliwą rodziną i nie widzę potrzeby, żeby uległo to zmianie. Jeżeli „świat nie zwalił Ci się na głowę" jak mawiali mieszkańcy tolkienowskiego Shire, to chciałbym napisać o tym, co wydarzyło się przez te parę tygodni.

Nie mogę pominąć bowiem jednej z najważniejszych wiadomości - nasz ulubiony cerber (a przy okazji Nemezis, dzięki której już cię tutaj nie ma), czyli Hitler zdecydował się odejść na emeryturę. Dwadzieścia siedem lat jego heroizmu nie wystarczyło do przykrycia zdarzenia z łaźni i listu, który wylądował na biurku przeora Klasztoru. Takie same listy dostali też redaktorzy kilku gazet, co zakończyło się nagłówkami w postaci „KORUPCJA ZA MURAMI WIEZIENIA", oraz „CERBERE BIJĄ WIĘŹNIÓW?". Nie znam autora tych listów i nie sądzę, aby zmieniły one za wiele w przyszłości, ale na razie zapanował spokój (o ile jest to w ogóle możliwe).

Dyrektor Rydz wystąpił nawet w telewizji, chociaż wątpię, aby przemyślał swoją decyzję. Ci dziennikarze naprawdę potrafią być okrutni i bez serca; nie przestawali go naciskać, musiał odpowiedzieć na stertę pytań w postaci „Czy wiedział pan o wszystkich nadużyciach?", albo „Jakie standardy obowiązują w służbie więziennej?". To było naprawdę przykre – widzieć takiego strażnika moralności, który wije się jak piskorz. Wykręcał się przez dobry kwadrans; nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak się pocił. W końcu uciekł przed tymi hienami za bramę, a z tego co mi wiadomo, konferencja nadszarpnęła jego zdrowiem. Przebywa teraz na urlopie, co pewnie pozwoli mu zregenerować nadwątlone siły. Na nasze szczęście wziął ze sobą także wychowawcę Druta.

Miejsce tego ostatniego zajęła kobieta. To chyba w ramach łagodzenia obyczajów, do czego żaden z nas nie ma pretensji. Pani Sabina ma stopień młodszego chorążego, dwadzieścia osiem lat i znacznie przyjemniejsze fizys. Jest drobną szatynką o krótkich włosach i brązowych oczach, a kiedy się uśmiecha, na jej policzkach robią się dwa dołeczki. Okazało się zatem, że nawet za tymi chmurami potrafi świecić słońce. Prawdziwy anioł, jeżeli chcesz znać moje zdanie.

Co do mnie, to postanowiłem zająć czymś ten czas odkupienia win, jaki Temida wyceniła na dwadzieścia pięć lat. Z racji zdarzeń opisanych powyżej jest nieco łatwiej o pracę, nikt nie wyrzuca twoich próśb do kosza z uśmiechem i słowami: „Ty to możesz nawet do papieża pisać". Moje podanie o kajfuskę spotkało się z przychylną opinią i tak od ponad tygodnia noszę biały kitel i czepek. Mam też całe grono nowych kolegów (twoja popularność rośnie jak dług publiczny, gdy możesz dać jedną łyżkę zupy więcej) oraz niewiele mniej wrogów (dodatkowa zupa nie starcza niestety dla wszystkich). Nie jest to może fach, który spełnia wszystkie moje ambicje, ale jak na początek wystarcza. Według naszego nowego anioła stróża w przyszłości mam szansę na pracę w kuchni Klasztoru.

Nie będę dalej cię zanudzał – czas za murem wlecze się niemiłosiernie, ale nawet on ma swoje granice (mam nadzieję). Czekam na twoją odpowiedź. Wiesz, że zawsze będziesz miał we mnie przyjaciela i jeżeli tylko zdołam, będę chciał Ci pomóc w przejściu przez to wysypisko. W piekle zawsze raźniej we dwójkę, nieprawdaż? Kończę marudzenie, licząc zarazem na szybką odpowiedź. Trzymaj się!

Tobiasz.

1. *Wiem, że zostało jeszcze trochę czasu, ale mój Jaś kończy w tym roku sześć lat. Myślę, że ucieszy się, słysząc kolejny z Twoich wierszy.*

Prośba Różyka nie zaskoczyła mnie tak jak rok wcześniej. Nie twierdzę, że byłem na nią przygotowany, ale tym razem poszło o wiele łatwiej. „Opowieść o psotnym Felku" była od swojej poprzedniczki dłuższa i jak zapewniał mnie przyjaciel, spodobała się Jasiowi. „*Za rok idzie do szkoły i wtedy będzie mógł ją sam przeczytać*" napisał Różyk w kolejnym z listów. Przy okazji nadmienił również, że dostał się do pracy w kuchni. Wyglądało na to, że jego życie zaczyna obrastać szablonem, określanym przez niektórych teoretyków „uwięziennieniem". Dla nas to jednak zwykła codzienność; trwająca całą dobę próba pow-

strzymania szaleństwa i żalu, kontrola demonów, które nie odchodzą pomimo mijających lat.

Nie mam pojęcia, kto odpowiada za ich istnienie. Nie zgadzam się jednak z twierdzeniami, że sami je zrodziliśmy. Tak, otworzyliśmy bramy piekła i uwolniliśmy je, ale nie powinny pragnąć niczego innego poza naszymi duszami. Pewnie i tak nie dałoby się niczego uratować, więc niech je zabierają tam, gdzie całą resztę.

Niestety czas pokazał, że piekła nie da zadowolić się marnym łupem. O istnieniu tej prawdy dowiadywałem się z każdego kolejnego listu od Różyka. Mój przyjaciel pisał o coraz częstszych chorobach Jasia, o badaniach, na które bez przerwy kierowali go lekarze. Miografie, mielografie, tomografie oraz wszystkie inne cholerne „grafie" pozwoliły na wydanie diagnozy, przy której dożywocie wydaje się wczasami w pięciogwiazdkowym hotelu.

Rdzeniak.

Nie jestem lekarzem i nie będę silił się na jakiś wykład. Dla mnie liczyło się to, co napisał Różyk: „Boję się, cholernie się boję", tylko tyle widniało na kartce, jaką mi przysłał we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. Mógłbym przysiąc, że poczułem wtedy powiew zimna, jakby ktoś przejechał mi po kręgosłupie kostką lodu.

W bibliotece znalazłem encyklopedię, która pomogła mi zrozumieć, czym jest ten cały rdzeniak. Jego łacińska nazwa to meduloblastoma, a skurwiel pochodzi z rodziny o wdzięcznych nazwach gwiaździaków, skąpodrzewiaków, gąbczaków i wyściółczaków, innymi słowami parszywej bandy glejaków. Nie należę do więźniów, którzy za murem odnajdują wiarę w naszego dobrego stwórcę, do tej pory w moim życiu nie dostrzegłem zbyt wielu dowodów na jego istnienie, ale zacząłem się modlić.

- Wiem, że krucho było z naszymi kontaktami. Nie potrafię z Tobą rozmawiać i być może tego nie usłyszysz, lecz to dziecko nie jest niczemu winne – szeptałem w nocy, tak, aby nie obudzić reszty diabłów. – Możesz dać tego skurwiela mnie. Naprawdę. Dam sobie z nim radę, a nawet jak nie, to przynajmniej przyspieszymy drogę w dół.

Wyglądało jednak na to, że nikt nie miał zamiaru wysłuchiwać modlitwy mordercy. Nie dziwię się. Nic, a nic. Sam również raczej bym jej nie wysłuchał, jakby nie było i tak znajdowałem się w ziemskiej wersji piekła, więc moje życie nie było za wiele warte. Wybaczcie, że tak piszę, ale ciężko mi uwierzyć, mimo dwudziestu lat, że choroba Jasia, stanowiła wyraz boskiej miłości. Dla mnie nigdy nie stała się „częścią

wielkiego planu", czy „najpiękniejszą z dusz, jakie Bóg do siebie powołał". Takie słowa pasowały do ust więziennego kapelana, nie diabłów w celach.

My, a właściwie Różyk, zajęliśmy się czymś bardziej przyziemnym.

Dziwicie się zapewne, że opisuję to wszystko tak, jakbym cały czas siedział z Tobiaszem. Może się wydawać, że nasze rozstanie szkodzi nieco opowieści, ale jest dokładnie na odwrót. Dostawałem listy; przez cały ten czas otrzymywałem je z regularnością, z jaką listonosz przynosi emeryturę, a poza tym w naszym wspaniałym świecie istnieje coś takiego jak przekaz ustny. System pogłosek i plotek nie posiada zbyt dużego stopnia prawdopodobieństwa, ale jeżeli przebywasz tutaj wystarczająco długo, dowiadujesz się jak z niego korzystać.

Dlatego nie miejcie mi za złe, że przeniosę się teraz z powrotem do Klasztoru. Wspomniałem już na samym początku mojej opowieści, kto ma stać się jej głównym bohaterem. Nie ma więc potrzeby pozostawać w łososiowych korytarzach aresztu w Radomiu. Możecie mi wierzyć - sto pięćdziesiąt kilometrów, jakie dzieliły mnie od Różyka nie mają wpływu szczerość przekazu. Daję słowo.

We listopadzie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego Tobiasz Różewicz miał za sobą niecałe trzy lata z zasądzonych dwudziestu pięciu. Nie trzeba być znawcą systemu penitencjarnego, aby domyśleć się, że jego szanse na spotkanie się z synem dzięki przepustce były równe zeru. Otrzymanie takiego przywileju nie stałoby się możliwe nawet w czasach dobrotliwego systemu powszechnej równości i wiecznej przyjaźni ze Związkiem Rad, a były to czasy dla diabłów lepsze, obfitujące w niespodzianki w postaci dekretów, amnestii i rzeszy innych udogodnień.

Po słynnej konferencji prasowej dyrektor Rydz odszedł na zasłużoną emeryturę, na której z racji odsłużonych lat mógł pobierać sześćdziesiąt procent ostatniego uposażenia. Miejsce tego nieszczęśnika zajął Andrzej Dolinka, który w Klasztorze pełnił wcześniej funkcję kierownika ochrony. Za jego czasów cele trzyosobowe w magiczny sposób zwiększyły swoją objętość i otrzymały kolejne łóżko, a noce na „termosie" nadal kończyły się pojawieniem braków w uzębieniu i czymś tak nieistotnym jak godność skazańca. Pułkownik Andrzej Dolinka nie był przy tym złym człowiekiem. Wierzył w nieuchronność kary i konieczność wykonania jej do samego końca, zupełnie jak Sąd Najwyższy. Nie muszę chyba tłumaczyć, że szansa na załatwienie przepustki z kimś takim stała gdzieś obok trafienia głównej wygranej w Lotto.

Niemniej jednak Różyk podjął się takiej próby. Kochał swojego syna jak każdy inny ojciec i kiedy dowiedział się o jego chorobie nie zastanawiał się długo. Na początku października tysiąc dziewięćset dzie-

więćdziesiątego dziewiątego zapisał się na rozmowę z dyrektorem Dolinką. W liście, w którym opisał mi tamten dzień zabrakło deszczu, którego strugi siekły bez opamiętania w mury i kraty, nie było też ciasnego pokoju z biurkiem, okupowanym przez mężczyznę o posturze niedźwiedzia, ale to akurat mnie nie zdziwiło. Dwudziestoletni chłopak, który idzie błagać o pozwolenie na spotkanie z chorym synem nie zapamięta przecież wszystkich szczegółów.

W każdym razie, gdy zamknął za sobą drzwi i zgodnie z regulaminem przedstawił się wraz z imieniem ojca, dyrektor Dolinka pogładził dłonią sumiasty wąs i spytał.

- Po co skazany tutaj przyszedł?

Taka formuła towarzyszy często różnym zdarzeniom z naszego więziennego życia. Są nimi przede wszystkim posiedzenia sądu, który ma zadecydować o warunkowym przedterminowym zwolnieniu. Mężczyźni zza biurka mogą sprawować różne funkcje, ale niektóre rzeczy układają według jednego wzoru. Jest nim znudzenie, zmieszane z obojętnością i przeświadczeniem o staniu na straży tej części świata, która nie chce nigdy więcej oglądać człowieka przed nimi na wolności.

- Zapytałem, po co skazany tutaj przyszedł? – dyrektor Dolinka ponowił pytanie. Zarządca cerberów miał przykrą manierę zwracania się do diabłów w trzeciej osobie.

- Mam do pana sprawę – zaczął Różyk niepewnym głosem. – Bardzo ważną sprawę.

- Słucham.

- To dla mnie bardzo trudne… sam tego nie rozumiem… nie wiem, od czego mógłbym zacząć…

Mężczyzna za biurkiem zaczynał się niecierpliwić. Jego palce bębniły o blat z lakierowanego drewna. Jego czas był cenny, a rozmowy z diabłami zawsze go nużyły.

- Niech zacznie od początku – odwrócił głowę w stronę pejzażu, na którym malarz uwiecznił rozszalałe morze. Widniała tam również samotna łódka, drobna łupina rzucona na pastwę dzikiego żywiołu.

Różyk napisał mi, że czuł się jak ta łódka. „Miałem wrażenie, że coś się przeze mnie przelewa, coś, z czym nie mogę sobie poradzić. Bez względu na to, co miałem powiedzieć, czułem, jak przyciąga mnie otchłań".

Dodał jednak również, że nie miał zamiaru się poddawać.

- Mam syna, Jasia.

- To akurat wiem. Czytałem skazanego teczkę – odparł dyrektor. Jego oczy nadal spoczywały na pejzażu. – I co w związku z tym?

- Jest chory. Mój Jaś. Jest ciężko chory.

Dyrektor Dolinka drgnął i obrócił się na krześle. Jego twarz nie straciła wyrazu szczególnego udręczenia, ale patrzył już na Różyka.

- Słucham.

Tobiasz wspomniał o tym, że cerber zdobył się na milczenie w trakcie jego łamanej opowieści. Nie przerywał mu ani, gdy opisywał swoje przestępstwo i motywy, ani gdy wyjawił na co chory jest jego syn. Jego dłonie spoczywały w bezruchu jakby właśnie sam wygłaszał orędzie do narodu, a za jego plecami widniał orzeł i państwowa flaga.

- Tak, to bardzo przykra sprawa – powiedział, gdy Różyk zamknął usta. – Bardzo przykra i dla skazanego musi być niezwykle ciężka. Nie wiem tylko, czemu skazany przychodzi z tym właśnie do mnie. Mamy przecież tutaj psychologa. On zajmuje się podobnymi problemami.

- Ja nie potrzebuję pomocy psychologa, panie dyrektorze, tylko pańskiej.

- Ale w czym?

- Może mi pan dać przepustkę.

W tym samym momencie dyrektor Dolinka stracił nieco na swojej obojętności. Jego brwi powędrowały do góry, a czoło zmarszczyło się w kilku fałdach jak skóra mopsa.

- Przepustkę? – jego głos przypominał echo. Dochodził z tej części umysły, z której pułkownik Dolinka nie miał zamiaru korzystać. – Jak to przepustkę?

Ogromne dłonie straciły wcześniejszą pewność. Cerber zaczął szukać czegoś na biurku. Nie było to łatwe. Oprócz telefonu, lampy i niezbędnika z czerwonego plastiku z paroma długopisami nie znajdowało się tam nic więcej.

- Niech skazany chwilę poczeka – dyrektor Dolinka chwycił dłonią za słuchawkę. Wybranie odpowiedniego numeru zajęło mu zaledwie chwilę. Równie krótko trwało przyniesienie akt Różyka. Dzisiaj to kompendium wiedzy o człowieku znajduje się na dysku twardym; w paru klastrach opisuje się twoją osobowość, zachowanie, kary i nagrody, wnioski i spostrzeżenia, notatki z rozmów oraz obserwacji. Wtedy wszystko mieściło się pomiędzy okładkami z zielonej tektury, opatrzone stosownymi podpisami oraz pieczęciami.

Różyk napomknął, że dyrektor wczytywał się w jego teczkę nieco ponad minutę.

- Dwadzieścia pięć lat – pułkownik Dolinka podniósł w końcu głowę. – Dwadzieścia pięć lat, z których odsiedział niecałe trzy. I przychodzi mnie tutaj prosić o przepustkę?

- Mój syn… Jaś… jest chory…

- To już wiem – dyrektor Dolinka przerwał mu zniecierpliwiony. – Powtarzanie tego samego nie zmienia niczego. Jesteś mordercą, tak, czy nie?

Temu akurat Różyk nie mógł zaprzeczyć.

- Tak.

Cerber odzyskał pewność siebie.

- Cieszy mnie, że to rozumie. Lubię, gdy znacie swoje miejsce w szeregu.

- Ale Jaś… on nie jest niczemu winny.

Dyrektor zamknął akta. Szerokie na palce usta ściągnęły się w linię, zanim wycedził kolejne słowa.

- On może i nie jest, ale skazany jak najbardziej. Było myśleć o synu, zanim żeś przejechał człowieka.

Tężejąca z wolna twarz zdradzała, że dla cerbera rozmowa dobiegała właśnie do finiszu. Ojciec chorego na rdzeniaka sześciolatka nie zamierzał jednak przekraczać mety.

- Czego pan nie potrafi zrozumieć? Mój syn ma raka. Strasznego, złośliwego raka. Niedługo może przestać widzieć, albo słyszeć.

- Dosyć! – mężczyzna uderzył otwartą dłonią w stół. – Wysłuchiwałem tego wystarczająco długo. Mamy tutaj salę widzeń, nawet ostatnio wydałem zgodę, żeby namalowano na jej ścianach jakieś tam misie i kwiatki. Syn zawsze może tutaj przyjechać.

Różyk zaniemówił na chwilę.

- Nie zrozumiał mnie pan – oddychał coraz ciężej. Jak później twierdził miał wrażenie, że krew, jaka płynęło jego żyłami zamienia się w lawę. – To dla mnie być może ostatnia szansa, żebym spotkał się z

synem. On tutaj nie może przyjechać. Nie ma na tyle siły.

- Bardzo mi z tego powodu przykro – odparł cerber z miną, jaka za nic nie chciała pogodzić się ze słowami. – Za murami mojego Klasztoru siedzi jednak kilkuset facetów. Każdy z nich trzyma w zanadrzu jakąś smutną historię. Chore dziecko, samotna matka, ojciec po wypadku, żona bez pieniędzy, zrujnowany dom, pusta lodówka, niektórzy z was przychodzą nawet z prośbą o wypuszczenie, żeby nakarmić psa. Gdybym miał w to wszystko wierzyć, musiałbym się zwolnić.

- Ale ja akurat mówię prawdę. Mój Jaś jest chory.

- Rozumiem. Jest chory i pewnie nawet dostanę za kilka dni odpowiednie dokumenty? – zapytał chytrze dyrektor.

- Oczywiście. Lekarz Jasia potwierdzi…

- Wystarczy, skazany Różewicz, wystarczy – przerwał pułkownik Dolinka. – Wy mi tutaj nie musicie niczego przynosić, ani dowodzić. Ja wam wierzę i bez dokumentów, ale zdania i tak nie zmienię. Dwadzieścia pięć lat, skazany Różewicz. Ten argument przemawia do mnie najmocniej ze wszystkich.

Różyk nie zamierzał się jednak odpuścić.

- No to niech mnie pan wypuści pod eskortą - powiedział. – Przecież istnieje taka możliwość…

- Owszem, istnieje – dyrektor Dolinka znowu wszedł mu w słowo. – Istnieje dla każdego, kto chce jechać na pogrzeb. A wasz syn, o ile dobrze słyszę, wciąż żyje.

W tym momencie granice, które wcześniej utrzymywały Tobiasza w ryzach, uległy zniszczeniu.

- Czyli mój Jaś ma umrzeć, żebyś ty mnie, kurwa, bucu, zawiózł na jego pogrzeb?

- Słucham?

- Chcesz bucu, żeby mój syn umarł, zanim zdążę się z nim zobaczyć? Proszę cię jedynie o kilka godzin, nawet z eskortą, w kajdanach i łańcuchach, żebym mógł go pożegnać. On ma tylko sześć lat…

- To już koniec naszej rozmowy, skazany Różewicz. Powiedzieliście, co chcecie i teraz wrócicie do celi. Radzę nic więcej nie dodawać – dyrektor mówił spokojnym głosem, ale jego dłoń sięgała po telefon.

- Nie zmusisz mnie do milczenia, ty skurwysynu!

Tobiasz zrobił krok do przodu, co dla cerbera było wystarczającym powodem.

- Tutaj! – mężczyzna w mundurze wrzasnął do słuchawki. – Zabierać go!

Z kolejnych minut Różyk zapamiętał niewiele. „Wbiegli we czterech. Kaski, tarcze, pały. Wiesz, jak to wygląda – człowiek nie ma czasu, aby złapać oddech, zanim zaczną. Myślę, że dyrektor zdążył jeszcze wybiec z pokoju, ale nie jestem pewien. Może lał mnie razem z nimi, to już nie miało znaczenia. Czułem tylko wściekłość, krwawe rozbłyski przed oczami i ogień, który zżerał całe ciało".

Tak wyglądał koniec spotkania Różyka z zarządcą cerberów w Klasztorze. Przynajmniej według jego opisu, którego lakoniczność wydaje się wymagać pewnego rozszerzenia. Tobiasz nie miał zamiaru atakować dyrektora Dolinki, ale to i tak nie uchroniło go wylądowania na „termosie".

A czym właściwie jest ten cały „termos"?

Wiem, że powinienem wspomnieć o nim wcześniej, być może pokusić się o użycie nazwy, jaką nosi w oficjalnym języku cerberów - cela dźwiękoszczelna o podwyższonym standardzie zabezpieczeń techniczno-ochronnych. Brzmi to jednak jak regułka z podręcznika, a w naszym świecie nikt nie używa takich określeń. Loch, do którego trafił Różyk nazywa się za murem właśnie „termosem", lub „dźwiękami", chociaż jedyne odgłosy, jakie tu słyszysz to szepty własnych myśli.

Tobiasz dostał trzy dni na wsłuchanie się w te szepty. Ktoś może uznać, że to niewiele, zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny, ale na termosie każda minuta wydaje się zamieniać w wieczność. Siedemdziesiąt dwie godziny niemal w całkowitych ciemnościach, bo jedynym źródłem światła jest żarówka, której strzeże zakratowana wnęka tuż nad drzwiami. Siedemdziesiąt dwie godziny w kasku, który podobno ma chronić przed samookaleczeniem, a wstrzymuje jedynie oddech. Trzy dni w kaftanie bezpieczeństwa, którego pasy zaciśnięto tak mocno, że dusisz się własnymi ramionami. Trzy dni samotności, o której Garcia Marquez nie napisałby pewnie ani słowa, przerywanej epizodami w postaci wizyt cerberów i kolejnymi lekcjami „resocjalizacji".

Jeszcze ciekawsze było położenie tego czyśćca. „Termos" w Klasztorze znalazł się w więziennej piwnicy, nieopodal kotłowni i innej, nieco większej celi z podwójnymi drzwiami. Ci, którzy kilka lat wcześniej mieli okazję przekroczyć ten próg, od razu dostrzegali zapadnię w podłodze i hak z kutego żelaza, wbity do połowy w sufit. Wątpię jednak, aby mieli o tym czas opowiadać. Ich oczy wypełniał raczej strach, jaki sami wzbudzali wcześniej, a w ostatnich chwilach nie myśleli o prowadzeniu pamiętnika. O istnieniu kaesowi wiedział każdy diabeł w Klasztorze; opowieści o duchach morderców, przemykających podziemnymi korytarzami należały do najczęstszych.

Nie wiem, czy Różyk spotkał któregoś z nich; nawet jeżeli tak było, to nigdy mi o tym nie wspomniał. Po trzech dniach opuścił „termos", chociaż nie dano mu powrócić do celi. Dyrektor Dolinka poczuł się urażony jego słowami. Swoje szkody wycenił na dwadzieścia osiem dni izolatek. To miało wystarczyć, aby zatrzeć ślady pobytu w klasztornych lochach. Dwadzieścia osiem dni na zniknięcie wszystkich siniaków i guzów nie wystarczyło jednak, aby powstrzymać Tobiasza.

Różyk ponowił prośbę o spotkanie z dyrektorem. Nie ryzykował zbyt wiele, najwyżej kilka kolejnych dni obok miejsca, skąd diabły niegdyś trafiały wprost do piekła. Niestety zarządcę cerberów pochłaniały „obowiązki służbowe" oraz „czynności administracyjno-organizacyjne", co pojawiło się w piśmie, jakie mój przyjaciel otrzymał po przeszło miesiącu. W tym samym czasie rdzeniak Jasia, zupełnie nie przejmujący się „obowiązkami" i „czynnościami" zaatakował.

Nie mam pewności, czy syn Różyka stracił wzrok w marcu, czy w kwietniu dwutysięcznego roku. Listy z tamtego okresu są zlepkiem słów, z których ciężko złożyć jakąś opowieść. Nie sądzę też, aby Różyk chciał dzielić się swoim bólem z kimś więcej niż ze mną. Obdarzył mnie zaufaniem, którego nie chciałbym zawieść, dlatego ograniczę się jedynie do wspomnienia, że dostał zgodę na widzenie z synem. Dyrektor Dolinka poczuł w końcu coś na kształt litości, w czym niewątpliwie pomógł mu sędzia penitencjarny, do którego prośbę skierowała była żona Różyka.

- Sąd, kierując się względami szczególnymi, postanawia udzielić skazanemu zezwolenia na czasowe opuszczenie zakładu… - tak mogła brzmieć formuła cudu, o którym do tej pory opowiada się za murami Klasztoru. Dzisiaj trudno jest uwierzyć, że coś takiego mogło mieć miejsce. Sala, w której skazaniec stoi przed obliczem Temidy, nie kojarzy się z niczym dobrym. To kolejne z miejsc na Wysypisku, gdzie można usłyszeć o przynależności do grona odpadków. Kapłani surowej bogini nie są zbyt chętni do okazywania łaski, więc sam traktuję tę historię jako coś z pogranicza fantazji.

Niemniej jednak Tobiasz otrzymał przepustkę. Trzydzieści godzin za murem to niewiele, ale gdy nie masz nic, nieco ponad dzień jest prawdziwym skarbem. Nie myślę jednak, aby Różyk miał czas na podziwianie widoków świata wolnych ludzi. Jechał do chorego dziecka i myślę, że w jego piersi nie trzepotał żaden radosny ptak.

Nie pokuszę się w tym miejscu o rozwinięcie tej części opowieści. W zasadzie nie różni się ona od innych, w których występują szpitale, chorzy sześciolatkowie, płaczące kobiety i bezradni ojcowie. Ta część należy do Różyka i jego rodziny. Wątpię, czy chcieliby usłyszeć relację gawędziarza, który przez lata zbierał jedynie okruchy i na końcu postanowił upiec z nich coś na kształt ciasta. Jedno wiem z pewnością - Tobiasz Różewicz wrócił do Klasztoru odmieniony. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy go wówczas widzieli, a ja nie mam powodu, żeby im nie wierzyć.

Co takiego, w ciągu zaledwie trzydziestu godzin, mogło zamienić młodego chłopaka w dorosłego mężczyznę? Z wcześniejszych kart tej opowieści możecie się chyba domyślić, że Różyk nie należał do typowych wyznawców starej więziennej zasady „carpe diem". Nie interesował się nigdy tym życiem tak jak pozostali. Oczywiście, był jego składową, jedną z wielu cegieł, z których zbudowano Klasztor, ale zarazem nie wsiąknął w tę strukturę do końca. Cząstka jego duszy pozostawała bez przerwy poza siedmiometrowym murem, poza niekończącymi się schodami i kratami, poza klatkami, skąd dochodziło wycie innych diabłów. W waszym świecie można by ją nazwać nadzieją i wierzcie, że tutaj jest czymś, czego nie warto posiadać.

Tobiasz stracił tę cząstkę w ciągu jednego dnia. Wyszedł na wolność na kilkadziesiąt godzin, o których większość diabłów marzy przez całe lata, ale napisał mi, że wolałby umrzeć w więzieniu. *„Kiedy musisz się pogodzić z ostatecznością, wszystko inne wydaje się być szare i pozbawione znaczenia. Wpadasz pod pociąg razem ze swoim nędznym życiem i toczysz się po kamieniach, a każdy oddech uświadamia tylko własną bezradność. Nic nie mogę zrobić; ta świadomość, co drąży mnie od środka jak rak"* – mam nadzieję, że dość wiernie przytoczyłem jego słowa. Gdzieś zgubiłem tamten list, a bez niego ciężko jest mi dalej pisać. To chyba wtedy również Różyk po raz pierwszy wspomniał o Prezesie, jednej z największych łajz, które kiedykolwiek chodziły po tej pięknej ziemi.

Bogdan Satyrowicz. Tak nazywał się facet, który podszedł do Różyka w szpitalu. Mój przyjaciel opisał

go jako miłego, starszego mężczyznę po pięćdziesiątce. Twierdził, że zrobił na nim dobre wrażenie – okulary z złotej oprawie, dobrze skrojony garnitur, zegarek za dwadzieścia tysięcy – kilka rekwizytów niezbędnych do zawłaszczenia nadziei drugiego człowieka. Prezes Satyrowicz posiadał tę rzadką zdolność i w maju dwutysięcznego roku postanowił z niej skorzystać.

- Mogę pomóc pańskiemu synowi – oznajmił po niecałym kwadransie rozmowy. – Moja fundacja prowadzi parę podobnych przypadków. Mamy kontakty w najlepszych szpitalach w Stanach. Tam przeprowadzają takie operacje codziennie.

Różyk obdarzył go nieprzytomnym spojrzeniem.

- Codziennie? – powtórzył. - Mój Jaś… On mógłby…

- Oczywiście – prezes Satyrowicz usiadł naprzeciw niego. – Założyłem swoją fundację dziesięć lat temu i mogę powiedzieć, że zdołaliśmy pomóc niejednemu dziecku. Profesor Henry Townstead jest jednym z najlepszych specjalistów w dziedzinie neurochirurgii. Może pan zapytać o to lekarza pańskiego syna.

- Nie, nie ma takiej potrzeby – Różyk pokręcił głową.

- Moja fundacja zapewni przelot do Stanów dla pańskiego syna i jego matki. Rozmawiałem już o tym wcześniej z panią Martą. Znam pańską sytuację, ale dla całej sprawy nie ma ona żadnego znaczenia. Zależy mi wyłącznie na dobru Jasia.

To wyznanie przełamało opór Różyka.

- Jest pan pewien? – spytał ponownie. – Jaś mógłby odzyskać wzrok?

- Szansa jest duża – odparł prezes Satyrowicz. – Nie pokuszę się o jej wycenę procentową, ale jeśli pan chce prześlę profesorowi dokumentację. Dzięki temu dowiemy się, jaki zakres leczenia jest niezbędny. Możliwe, że Jaś nie będzie potrzebował nawet operacji. W takim przypadku koszt mógłby być o wiele mniejszy.

Twarz prezesa przybrała ten smutny wyraz, który pojawia się w chwilach odwiedzin komornika lub inkasenta. Tak zapamiętał go Różyk, chociaż wtedy, w piękny majowy dzień na korytarzu szpitala, nie zwrócił na to uwagi.

- Ile musielibyśmy zebrać? – potarł spocone dłonie. Do końca przepustki pozostawało zaledwie dziewięć godzin i jeżeli nie chciał się spóźnić na pociąg, musiał już wyjść ze szpitala.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy – prezes złączył dłonie, jakby szykował się właśnie do modlitwy.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy?

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów – Prezes pospieszył z wyjaśnieniem, jakby skazaniec na przepustce przypadkiem sięgnął do kieszeni po złotówki. – To i tak zaledwie połowa wydatków. Fundacja pokrywa ich część, ale nie damy rady spłacić wszystkiego.

Myślę, że powinienem powrócić już do swojej opowieści. Tamta rozmowa trwała rzecz jasna nieco dłużej, odbyła się też w innym miejscu niż szpitalny korytarz, a poza Różykiem brała w niej udział także matka Jasia. No cóż, nie mam już takiej pamięci jak niegdyś, a poza tym niektóre z okruchów są tylko moimi domysłami. Tobiasz opowiedział mi o spotkaniu z Bogdanem Satyrowiczem wiele lat później i sądzę, że nadal odczuwał ból.

- Uwierzyłbym mu nawet, gdyby przyszedł z trójzębem, pluł siarką i zamiatał podłogę ogonem, a on wyglądał naprawdę porządnie – wspominał ze smutnym uśmiechem. – Facet kupiłby każdego. Wyciągał z teczki jakieś papiery, ulotki, dokumenty. Wszystko po angielsku, kolorowe zdjęcia, sale z wyposażeniem, jakiego u nas nigdy nie zobaczysz. Marta błagała go o pomoc, a ja byłem gotów sprzedać nerkę, żeby zdobyć tę kasę.

Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, pamiętacie? Ta suma nawet dzisiaj robi wrażenie, a w maju dwutysięcznego roku, gdy nikt nie słyszał jeszcze o kryzysie, upadku Enron-u, czy bankructwie Grecji była majątkiem. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w przeliczeniu na złotówki odpowiadało wartości dwóch dobrych mieszkań. Nie muszę chyba wyjaśniać, że Różyk nie posiadał nawet tysięcznej części tych pieniędzy. Pracował w więziennej kuchni i nasze opiekuńcze państwo zabierało połowę z sześciuset złotych, jakie zarabiał co miesiąc. Zebranie takich pieniędzy zajęłoby mu około stu sześćdziesięciu sześciu lat, więc nie

muszę pisać, że ta droga raczej nie wchodziła w rachubę.

Różyk nie miał szans na kredyt, nie skorzystał też z kilku rad, jakie podsunęły mu zawsze usłużne diabły. Nauki w postaci „Ja to bym napadł na bank", albo „Możesz kogoś porwać i wziąć okup" nigdy go nie interesowały. Miał na swoim sumieniu śmierć jednego człowieka i jak zawsze twierdził, nie zamierzał dokładać tam nic więcej.

- Musiałem coś zrobić – opowiadał mi po latach ze spokojem, dzięki któremu cerberowie uważali go za zimnego i pozbawionego uczuć. Ja poznałem go nieco lepiej i uważam, że po prostu należy do ludzi, którzy dzielą się emocjami tylko z kimś, komu mogą zaufać. – Znasz to uczucie równie dobrze jak ja. Siedzisz w tej cholernej klatce, żresz trzy razy dziennie, srasz i od czasu do czasu zmieniasz bok, żeby przypadkiem nie zrobiły się odleżyny. Z takiej pozycji trudno zrobić coś mądrego, coś, co pozwoli rozwiązać problem.

Tobiasz Różewicz nie należał jednak do tej części naszej szczęśliwej rodziny, która ze spokojem przyjmuje wyroki przeznaczenia. Nie był takim typem człowieka, ten cały Różyk. O nie. On miał plan, w którym sześć metrów żelbetonu, jakimi otoczono Klasztor nie stanowiło żadnej przeszkody. Zrobił zbiórkę wśród diabłów i możecie mi wierzyć, lub nie, niewielu było takich, którzy odmówili jego prośbie. W czerwcu dwutysięcznego roku rozpoczął również maraton składania podań do każdego, kto mógłby wspomóc wyjazd jego syna chociaż jedną złotówką. Dyrektor Dolinka, który wciąż stał na straży porządku w Klasztorze, zezwolił nawet na przydział dziecięciu dodatkowych znaczków, co bez wątpienia musiało wzruszyć jego sercem.

Ile Różyk wysłał tych listów? Wątpię, czy kiedykolwiek zdołał je policzyć. Kiedy walczysz o życie dziecka, nie zajmują cię sprawy związane ze statystyką. Sądzę jednak, że przez wakacje ostatniego roku zeszłego milenium zdołał zwrócić się z prośbą o pomoc do tysiąca różnych ludzi. Sto dwadzieścia pięć listów tygodniowo, każdy pisany odręcznie, na dwóch kartkach papieru. Pisał do innych fundacji, do polityków z Wiejskiej, do ministrów, celebrytów, biznesmenów, księży i dawnych sąsiadów. Nie zrażał się ani brakiem odpowiedzi, ani narzekaniem cerberów, którzy musieli nosić stosy kopert.

Ja też otrzymałem jeden z takich listów. Mam go przez ten cały czas przed sobą; dwie kartki żółknącego już z wolna papieru, na których rozpacz miesza się z nadzieją. Widnieje tam również prośba o kolejny wiersz dla Jasia. Napisałem go jeszcze przed siódmymi urodzinami chłopca. Tym razem bohaterem uczyniłem ziarnko piasku, co musiało mi się w jakiś sposób skojarzyć z próbami Różyka. Mój przyjaciel również pozostawał samotny, mimo miliardów innych ziaren, które go otaczały.

Okazało się bowiem, że wysłanie takiej góry listów nie kończy sprawy. Tobiaszowi udało się zebrać zaledwie dziesięć tysięcy dolarów. Spośród tysiąca adresów, jakie dostał od Prezesa, tylko niektóre zdecydowały się pomóc. Jak dowcipnie ujął dyrektor Dolinka: „Trzeba się z tym pogodzić, osadzony Różewicz. W tym kraju nie tylko pański syn choruje".

Tobiasz nie zamierzał jednak się z niczym godzić.

- Miałem jeszcze mieszkanie – wyznał mi kiedyś. – Nic wielkiego, jeden pokój na Śródmieściu, po babci. Staruszka przepisała je na mnie przed śmiercią, żebym miał gdzie się podziać po wyjściu.

Różyk sprzedał wszystko. Przed sobą miał jeszcze dwadzieścia jeden lat przymusowego kwaterunku w Klasztorze, więc nie potrzebował dodatkowych metrów.

- Przesłaliśmy mu wszystko, co do grosza, Marta i ja – kończył swoją opowieść. – Około stu trzydziestu tysięcy, bo Marta też zbierała po całej rodzinie. Ona też sprzedała mieszkanie i przeniosła się do matki, do Płocka. Musiała wracać codziennie do szpitala, do Jasia, ale wierzyliśmy, że prezes zdoła mu pomóc.

Satyrowicz. Czy ktoś, kto nosi takie nazwisko zyskałby wasze zaufanie? Założę się, że w tej chwili każdy kręci z niedowierzaniem głową i przysięga na najświętszą panienkę: „Ja nie, nigdy, ja nie dałbym się oszukać, w żadnym wypadku". Niestety w rzeczywistości zwykle chcemy wierzyć tym, którzy dają nam nadzieję. Ta naiwność dotyczy w równym stopniu ludzi wolnych, jak i diabłów, które toczą swoje życie na wysypisku. Różyk nie był wyjątkiem. Oddał Bogdanowi Satyrowiczowi wszystkie zebrane pieniądze oraz nadzieję. Jak się potem okazało, nie był jedynym, który to uczynił. Podczas rozprawy, gdy bogini z zawiązanymi oczami zdecydowała się w końcu zważyć grzechy prezesa, wyszło na jaw, że ludzi takich, jak Różyk było znacznie więcej. Bogdan Satyrowicz (a było to tylko jedno z czternastu nazwisk, jakie przybierał), oszukiwał od wielu lat; był prezesem fundacji, kapitanem statku, przewodniczącym komitetów budowy pomników, prezydentem Włocławka, konsulem honorowym Danii, obrońcą krzyża na oświęcimskim wzgórzu i jeszcze kilkoma innymi osobami. Nie wiem, jak czuł się z tyloma twarzami i czy ktoś jeszcze poniósł taką cenę, jak syn Różyka.

Jaś Różewicz zmarł w grudniu dwutysięcznego roku. Miał siedem lat i pięć miesięcy i gdyby nasz dobry stwórca zechciał, być może uczyłby się stawiania pierwszych liter. Być może nie miał też szans na uratowanie; wątpię, czy profesor Townstead istnieje w jakimkolwiek szpitalu w USA i czy jest specjalistą dziecięcej neurochirurgii. Okruchy z tamtych dni sprawiają mi największą trudność. Różyk zdradził mi wiele, ale i tak myślę, że największy ból zachował tylko dla siebie, dlatego uszanuję jego zdanie i opowiem wam o czymś innym.

Zanim to jednak uczynię, muszę wyjaśnić, czym jest więzienna „eska", czyli szczególne miejsce dla tych, którzy okazali się zbyt normalni, żeby wylądować w szpitalu, ale nie wystarczająco, aby odbyć swą pokutę w głównym piekle. Innymi słowy to specjalny oddział dla diabłów, które nie mają zbyt równo pod sufitem. „Klatki dla świrów", jak nazywano je w całym Klasztorze, znajdowały się w osobnym skrzydle, z dala od innych oddziałów. Wejścia strzegła brama z solidnego, kutego żelaza z umieszczoną u samej góry tabliczką „S", a ściany korytarza wyłożono białymi kafelkami, lecz pozostałe rzeczy nie różniły się od siebie. Cele pozostawały celami; trzy łóżka, w tym jedno piętrowe, mały stolik i również trzy taborety – wszystko przytwierdzone śrubami do podłogi, okno z podwójną kratą i mleczną szybą na zewnątrz, odrutowana lampa z dwóch jarzeniówek, szafki bez drzwiczek i niewielki murek z żeliwnym kiblem.

Różyk trafił tam na początku nowego tysiąclecia, pod koniec stycznia. Miał zajmować się prowadzeniem zajęć z tkactwa i malarstwa, w czym był (i wciąż jest) naprawdę dobry. Jego wychowawczyni wpadła na pomysł, że praca z innymi pomoże mu otrząsnąć się po śmierci syna. Dziwna idea, wbrew pozorom i mojej ówczesnej ocenie, okazała się strzałem w dziesiątkę. Tobiasz spędził na „esce" resztę wyroku, czyli kolejne szesnaście lat i sądzę, że zyskał coś więcej niż spokój. Do tej pory przez większość dnia zajmował się przyrządzeniem przysmaków w postaci gulaszu z serc, potrawki z żołądków, lub kotletów, których głównym składnikiem był granulat soi. Po przeprowadzce otrzymał coś więcej; cząstkę wolności, jakiej pielęgnacja pozwoliła zachować resztki zmysłów. Sądzę też, że dzięki temu zdołał się podnieść i przejść przez wysypisko bez większych strat, co nie należy do najłatwiejszych zadań.

Jako „kształtujący", czyli więzień, za pomocą którego inne diabły mają poszukiwać wyjścia z piekła, Różyk trafił do celi pojedynczej. Tak, trafiały się takie cuda również i w Klasztorze, gdzie większość klatek miała raczej trzech i więcej mieszkańców. Tobiasz siedział jednak sam, jeżeli nie liczyć sztalug, palet, pędzli, słoiczków z farbami i kilku dziesiątek różnej wielkości płócien. Jak sam stwierdził w liście, który wysłał mi w kwietniu dwutysięcznego pierwszego roku *„To wszystko wygląda lepiej niż możesz sobie wyobrazić. Mam tutaj coś w rodzaju własnej pracowni. Nic tylko siedzieć i malować. Jeżeli się nie mylę, to zajęcia z innymi członkami naszej szczęśliwej rodzinki będą tylko epizodami właściwego procederu"*.

Wielkoduszność cerberów to dość nędzny sekret i nie trzeba było czekać długo, aby poznać jego wszystkie cienie. Któż nie chciałby mieć na ścianie Rembrandta, Degasa, czy Kandinskiego? Oczywiście nie mam na myśli oryginałów, a jedynie kopie, które mniej więcej od maja dwutysięcznego roku zaczęły opuszczać pracownię Różyka, a zaraz po niej przytulne mury Klasztoru. Cerberowie przynosili mu albumy z obrazami, a kiedy spostrzegli, że ma prawdziwy talent, zaczęli dołączać również zdjęcia. W taki sposób Tobiasz uwieczniał farbami ich rodziny, dzieci w komunijnych garniturkach, domy i ogrody, srebrne łyżeczki po dziadku, czy Yorkshire`y z zawiązaną na czubku głowy czerwoną kokardką.

- Nie wiem, ile namalowałem obrazów – przyznał mi kiedyś. – Nie pokuszę się, żeby je wszystkie poli-

czyć. Sądzę, że dopóki Klasztorem rządził Dolinka, było ich nie mniej niż dwa, może dwa i pół tysiąca.

Dwa tysiące obrazów w cztery lata, bo Andrzej Dolinka zajmował fotel zarządcy cerberów do czerwca dwa tysiące piątego roku. Wtedy to, po blisko trzech dekadach heroicznej służby rzucił się z nożem na starego diabła, Alberta Gwizdonia. Mogliście kiedyś słyszeć o tej sprawie; dyrektor więzienia, który zabija niepełnosprawnego więźnia to rzecz rzadka, nawet jak na standardy rzeczywistości w piekle. Jak się później dowiedzieliśmy, pułkownik Dolinka przeżył ciężkie nerwowe załamanie i nie mógł odpowiadać za swój czyn przed kapłanami Temidy. Do dzisiaj trudno mi zrozumieć, jak taki znerwicowany człowiek dawał sobie radę przez te wszystkie lata i co takiego musiał mu powiedzieć stary Albert, gdy dyrektor wszedł do jego celi i kazał zamknąć za sobą drzwi. Zapewne było to coś niesłychanie obraźliwego, coś, co wyprowadziło pana pułkownika z równowagi i kazało przebić serce więźnia, siedzącego na inwalidzkim wózku.

Pułkownika Dolinkę zastąpił major Tadeusz Karpiński, gdyż ten świat, jak wszystkie inne nie znosi próżni. Major Karpiński dość szybko otrzymał awans na podpułkownika, być może dzięki wstawieniu do każdej celi tzw. „sianka", czyli już nawet nie łóżka, a zwykłego materaca, który diabeł rozścielał na noc na podłodze. Do grudnia dwa tysiące dziewiątego roku była to dość powszechna praktyka; rozciąganie pojemności klatek i wsadzania tam kolejnych więźniów. Nikt nie przejmował się kwestiami tak nieistotnymi jak samopoczucie, dobry nastrój, albo zwykła, ludzka godność. Trudno o te rzeczy, gdy na dziewięciu metrach, w połowie lipca, gdy słońce chce cię spalić żywcem, oprócz własnego spoconego ciała, ocierasz się o cztery inne.

Powyższe niedogodności nie dotyczyły jednak Różyka w najmniejszym stopniu. Nadal siedział na „esce". Był użytecznym diabłem i mimo, że rządy podpułkownika Karpińskiego nie wymagały już taśmowego malowania obrazów, nie pozostawał bez zajęcia. Rzeka malowideł zamieniła się jedynie w strumyk; prace Różyka trafiały tylko do tych cerberów, którzy posiadali błogosławieństwo swego zarządcy. Od czasu do czasu stawały się także miłym prezentem dla jakiegoś ministra, albo posła, który przyjeżdżał do Klasztoru w pragnieniu ujrzenia na własne oczy procesu resocjalizacji.

To wszystko dla mnie nie miało żadnego znaczenia. W maju dwa tysiące trzynastego roku, po ponad czternastu latach wróciłem w klasztorne mury. Do tego czasu zdążyłem już poznać uroki Białołęki, Tarnowa, Włocławka i dwukrotnie Iławy. W każdym z wysypisk poznałem setki diabłów, ale żaden nie zajął miejsca Różyka. Czasami tak w życiu bywa. Poznajemy kogoś, kto znaczy więcej niż inni. W świecie poza murem nazywa się to przyjaźnią, a jak już niejednokrotnie wspomniałem, Różyk był moim przyjacielem.

Nie wiem, ile obrazów musiał namalować, żeby załatwić moje przeniesienie. Nie chciał mi tego zdradzić, gdy z „mandżurem" stanąłem przed kratą z literą „S".

- Cześć! – przywitał mnie, jakbyśmy nie widzieli się przez jeden, góra dwa dni. – Fajnie, że jesteś.

Uśmiechnęliśmy się i uścisnęliśmy sobie dłonie. Cóż więcej można było zrobić? Obaj należeliśmy do tej warstwy diabłów, jaką system penitencjarny określa mianem „długoterminowych"; nie odczuwaliśmy pragnień, które towarzyszą zwykle innym więźniom. Żaden z nas nie miał zamiaru zanosić się chichotem, przypominającym końskie rżenie, czy ryczeć jak jeleń w rui. Tą część życia pozostawiliśmy za sobą, przed laty, gdy szczytem pomysłowości było stworzenie w celi basenu. Teraz obaj mieliśmy już po trzydziestce; dwaj dorośli faceci, których połowa życia toczyła się za murami więzienia.

- Nic się nie zmieniłeś – powiedziałem chwilę później.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda.

- Kilka siwych włosów dodaje ci tylko powagi – zażartowałem. - – Gdybyś przeniósł się teraz na bulwar nad Sekwaną, nikt nie rozpoznałby w tobie diabła.

Nie przestawał się uśmiechać. Kazał mi położyć rzeczy i wskazał ręką na jedną ze swoich sztalug.

- Skoro o tym mowa, mam coś dla ciebie – powiedział. – Może nie jest to prawdziwy Monet, ale powinien ci się spodobać.

Wiedziałem, że czeka na moją reakcję, ale nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

- Po raz pierwszy widziałem go, rozmawiając z Dolinką – wyjaśnił. – „Impresja – wschód słońca", chociaż wątpię, żeby to przeważyło o jego miejscu na ścianie tamtego gabinetu. Dyrektor Dolinka nigdy nie pogodziłby się z poglądem, że każde zjawisko jest tylko umykającą chwilą.

Nadal wpatrywałem się w obraz. Widniała na nim ta sama łódka, jaką znał każdy diabeł z piątego oddziału. Mogłem się założyć, że płótno wisi wciąż i wita każdego, kto wchodzi do pokoju wychowawcy. Mała łódka w otoczeniu błękitów; samotność człowieka umieszczonego pośrodku morza – nie będę silił się nawet na próbę opisania tego, co widziałem. Byłem zbyt starym diabłem, żeby ulegać wzruszeniom, lecz czułem, ile kosztowało Różyka namalowanie tego obrazu.

- I ty mówisz, że ja mam talent? – wykrztusiłem w końcu. – Przecież to jest… to coś… sam nie wiem.

Naprawdę nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć. Zaskoczył mnie, a to nie było łatwe.

- Fajnie, że ci się podoba – odparł z uśmiechem. – Spóźniony prezent na piętnastolecie. Jak to się u nas mówi teraz to już z górki.

Podszedłem do jednego z okien. Do samotni Różyka wpadało ciepłe światło majowego słońca i pozwoliłem sobie ukraść kilka promieni.

- Z górki – mruknąłem. – Za niecały rok będę siedział tutaj tyle samo, ile żyłem na wolności, chociaż to akurat mnie nie martwi. Mam paskudną świadomość, że niemal wszystko, co przeżyłem, za tym cholernym murem jest lepsze od tamtego życia. Bardziej wartościowe, bogatsze w barwy, podobnie jak twoje obrazy.

Kiwnął głową. Czułem, że nie muszę dodawać niczego więcej.

- Ja tam wierzę, że spotkamy się jeszcze w tym lepszym świecie.

- Zapomniałeś chyba, Różyk, że mnie nikt nie zamierza już tam oglądać – westchnąłem. - Przynajmniej nie w wieku, w którym podtarcie tyłka nie zajmuje ci dłużej niż kwadrans.

- Przesadzasz, nie jesteśmy w „Skazanych na Shawshank”.

- Powiedz to cerberom. Założę się, że ich punkt widzenia kotwiczy właśnie gdzieś w tych okolicach.

Podszedł bliżej i też wystawił twarz do słońca.

- Coś w końcu musi się zmienić – powiedział. – Nie będą trzymali ludzi aż do śmierci.

- No nie wiem. Ostatnio przeczytałem, że czterech już zdążyło umrzeć. Chyba nie należymy do tej kategorii diabłów, które dostaną szansę oglądania tego pięknego muru z drugiej strony.

Przez dłuższą chwilę słyszeliśmy jedynie swoje własne oddechy. W końcu Różyk klepnął mnie w ramię i wskazał dłonią taboret.

- Siadaj! – powiedział. – Zmartwienia nie wnoszą w naszą codzienność nic poza nowymi kratami. Dobrze wiesz, że dopóki masz chociaż jednego przyjaciela, a zapewniam cię, że tak jest, nie powinieneś tracić nadziei.

Pokręciłem głową.

- Skąd ty to wszystko bierzesz? - spytałem, zanim usiadłem. Po paru minutach miałem przed sobą kubek z parującą kawą. – Tą całą nadzieję, tą siłę i to po tym, co cię spotkało?

Spojrzał mi prosto w oczy. Błękitne źrenice nie straciły przez te wszystkie lata swojej siły. W kącikach pojawiły się wprawdzie początki zmarszczek, a szczupłej twarzy przybyła parę bruzd, ale wciąż biło z niej to samo światło.

- To chyba jasne, że z miłości – odparł z humorem. – Miałem to szczęście nie pozostania samotnym. Kiedy wali się jeden z twoich światów, dobrze mieć przy sobie kogoś, kto pomoże ci zbudować drugi.

- Marta?

- Nie, nie przyjacielu – mruknął. – Marta należy do zamkniętego rozdziału. Od dnia rozprawy, a właściwie od chwili, gdy zadzwoniła do mnie, żebym jej pomógł z Ponurym. Nie zbliżyliśmy się do siebie nawet, gdy Jaś zachorował.

Skręcił i zapalił papierosa.

- Nie wiedziałem, że zacząłeś palić.

- To paskudny nałóg, ale zajmuje czymś ręce – zażartował i zmienił temat. - Nie mogę zdradzić ci zbyt wiele, ale oceniam, że nie pozostało mi więcej niż dwa, trzy lata odsiadki.

- Warunkowe? – upiłem łyk kawy. – Optymista z ciebie.

- Optymista, czy nie – teraz nie ma to znaczenia – odparł. – Najważniejsze, że chciałbym utrzymać z tobą kontakt. Nie mam zamiaru zapominać tego, co dla mnie zrobiłeś i kim naprawdę jesteś.

Odwzajemniłem jego spojrzenie. Chciałem się upewnić, czy się ze mnie nie nabija. Rozmawialiśmy przecież o przyszłości i to dość mglistej. Diabły nie miały tego w zwyczaju, przynajmniej nie te, którym Temida przyznała wiele lat darmowych wczasów.

- A kim ja jestem, Różyk? W tym świecie słyszałem już tyle ocen, że samemu trudno się w nich wszystkich połapać. Czasami mam wrażenie, że cerberzy znają mnie lepiej niż ja sam.

- Tego nie wolno dać ci sobie wmówić – zaprzeczył. – Żaden z nich nie ma prawa mówić ci kim jesteś. Człowieka nie da się ocenić za pomocą linijki i szablonu. Człowiek jest czymś więcej niż modelem kartonu, który przykładasz do skali odpowiedzi.

- Być może, być może – położyłem ręce na stole. – W jakimś innym świecie byłoby to całkiem prawdopodobne. Niestety obaj żyjemy w rzeczywistości, gdzie ludzi ocenia się na podstawie przeszłości, a ta barwa ma w sobie dość przykrą jednoznaczność.

- Dlatego już parę lat temu powiedziałem ci, że trzeba szukać innych kolorów – przypomniał mi jedną z naszych ostatnich rozmów. Przez chwilę sam poszukiwałem jej w myślach.

- Mam tamten zeszyt i jeszcze parę innych – kiwnąłem głową. – Żadne słowa nie zmieniają jednak faktu, za który spędzę tutaj resztę życia.

- Ale zmienia fakt tej całej reszty – powiedział ze znanym mi uporem. – Ja na przykład maluję obrazy, nieskromnie mówiąc całkiem niezłe. Kilkaset sztuk rocznie, a od odejścia naszego kochanego Dolinki mogę na nich nawet zarabiać. Myślę, że zanim stąd wyjdę, odłożę na kawałek ziemi w Bieszczadach.

- Nie przesadzasz przypadkiem?

- Dlaczego? Za jeden obraz dostaję od pięciuset do tysiąca złotych. Mam własną agentkę, płacę podatki, nikt nie może się do mnie przyczepić.

- Nie rozumiem – dopiłem kawę i odstawiłem szklankę na bok.

- To proste, moja lepsza połówka zajęła się wszystkim.

- Poznam chociaż jej imię? – spytałem. – Ktoś taki musi być prawdziwym aniołem.

Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się pod wpływem uśmiechu.

- Jest, zapewniam cię – odparł. – I o ile się nie mylę, powinieneś znać jej imię. Wspominałem ci o niej z jednym z listów.

Moja mina zdradziła mu chyba, że jest dokładnie inaczej.

- Może i parę zgubiłem, ale raczej nie.

- Sięgnij do schowka z głowie. Sabina. Nic ci to imię nie mówi.

Coś zaczynało mi świtać. Promyk był nikły i tak nieprawdopodobny, że w pierwszej chwili cisnąłem nim na bok.

- Ty chyba nie masz na myśli…

- Tak, Sabinka była moją wychowawczynią – przyznał ze spokojem. – Pracowała w Klasztorze i bardzo mi pomogła, gdy Jaś zachorował.

- Zaraz, zaraz – powstrzymałem go. – Cały czas mówimy o cerberze, który zajął miejsce Druta? O tym z dołeczkami i brązowymi oczami?

- Właściwie to są ciemnobrązowe, ale dołeczki się zgadzają – odparł z powagą. – Pobraliśmy się miesiąc temu i żałuję, że nie mogłeś przyjechać wcześniej. Zostałbyś moim świadkiem.

Na razie byłem świadkiem opowieści, w którą nie uwierzyłby żaden znany mi diabeł. Sam bym w nią nie uwierzył, gdybym usłyszał ją od kogoś innego.

- I przez te wszystkie lata? – dopytywałem, chociaż nie potrzebowałem dalszych wyjaśnień. Mina Różyka wystarczała za wszelkie odpowiedzi.

- Ja chyba jestem tym typem faceta, który źle się czuje sam – przyznał, chociaż w jego głosie radość przeplatała się z dawnym bólem. – Sam w to nie wierzyłem i czasami nadal jest mi ciężko, ale jesteśmy razem. Tylko to się liczy.

Musiałem wyglądać dość nieswojo, bo położył mi dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze, dobrze, tylko potrzebuję chwili, żeby to ogarnąć – odpowiedziałem.

Wspominałem już zapewne, że wiele rozmów z moim przyjacielem różniło się od zwyczajowych dialogów, jakie toczy się w zaciszach klatek, na spacerniakach, w więziennej kaplicy, czy w piwniczce, gdzie oczekiwaliśmy na widzenia z rodziną.

Ta należała do najdziwniejszych.

- Wiesz, na początku nie było wcale łatwo – postanowił wszystko mi wyjaśnić. – Po tej całej sprawie z Krukiem, Hitlerem i dyrektorem Rydzem nie zaliczałem się do ulubieńców cerberów. Sądzę, że chcieli się mnie pozbyć i właściwie nie znam powodu, dlaczego tak nie zrobili. Możesz to nazwać przeznaczeniem, zrządzeniem losu, czy innym kismetem, ale zostałem. Sabinka przyszła do nas chyba za karę, bo zdajesz sobie sprawę, jak młode diabły zachowują się na widok cerbera w spódnicy. Były tam gwizdy, śmiechy, cmokania, jeden złapał ją nawet za tyłek, co trochę mnie zdenerwowało. Przyłożyłem gnojowi, co kosztowało mnie pierwszą rozmowę z wychowawczynią.

Kiwałem głową. Równie dobrze mógłby opowiadać o odkryciu nowej drogi na Marsa.

- Sam nie wiem, jak to wszystko potoczyło się dalej – dodał. - Opisałem ci wizytę u Dolinki, kiedy starałem się o przepustkę. Myślę, że gdyby Sabinka mi wtedy nie pomogła, nigdy nie odwiedziłbym Jasia. Ona wszystko załatwiła, wychodziła i wybłagała. Nawet dzisiaj nie chce mi powiedzieć, ile ją to kosztowało, ale zdołała uzyskać dla mnie tę zgodę. Resztę już wiesz.

Uniosłem do góry brwi.

- Tak?

- Prezes, ta cała akcja ze zbieraniem pieniędzy na operację dla Jasia, jego śmierć…

- Nie musisz mówić nic więcej.

- Ale chcę – podniósł głowę. – Chcę, bo jesteś jedynym człowiekiem, któremu warto jest o tym opowiedzieć.

- Ja? Ja jestem facetem, który ma za sobą piętnaście lat więzienia i co najmniej dwa razy tyle, gdy patrzę w przód. Jestem skazany na te mury.

- To nieprawda – zaprzeczył. – Na te mury są skazani jedynie ci, którzy naprawdę w to wierzą.

- Piękne słowa – uśmiechnąłem się. – Nie wiem, czy nie masz do nich większego talentu niż ja.

- Nie mam i moja Sabinka też tak myśli.

- A zatem znamy się, chociaż nie widziała mnie nawet na oczy?

- Wystarczy, że czytała to, co napisałeś do mnie – wyjaśnił. – Znalazła ci nawet wydawcę. Jeżeli tylko chcesz, twoje wiersze znajdą się na wolności.

- Na wolności – powtórzyłem za nim te dwa słowa, jakby były kawałkiem czekolady, który rozpuszcza się powoli w ustach. Przynajmniej tak zapamiętałem ich smak; były słodkie. – To bardzo miłe.

- No ja myślę – powiedział z uśmiechem. - Przemyśl to wszystko, stary. Tylko niezbyt długo, bo nie mamy za wiele czasu.

- Bo wychodzisz? – zażartowałem. – Za dwa, góra trzy lata?

- Taki jest plan. Mam przepustki i namalowałem już parę obrazów dla sędziego. Nie da mi może pierwszej wokandy, ale czwartą albo piątą, czemu nie? Mówiłem ci już o tym domku w Bieszczadach. Jest tak wioska w pobliżu Halicza…

- Fajny plan – przerwałem mu, podnosząc dłoń. – Brzmi całkiem jak w *Skazanych…*, tylko że ja nie jestem Morganem Freemanem, a ty raczej nie dłubiesz w jednej z tych ścian tunelu.

Uśmiechnął się.

- Skoro o tym mowa – te ściany od teraz będą również należały do ciebie. Załatwiłem jeszcze jedną rzecz.

- Co takiego?

- Klasztor potrzebuje bibliotekarza, a tak się składa, że znam kogoś, kto nadaje się do tej roboty lepiej niż inni. Miałbyś w końcu stałe zajęcie, dostęp do książek i swoje miejsce w tym świecie. Mógłbyś zająć się tylko pisaniem, a ja i Sabina pomożemy ci w znalezieniu wydawcy.

To brzmiało lepiej niż mogłem sobie wymarzyć. Wbrew twierdzeniom niektórych cerberów, ciągłe zmiany nie czyniły naszego życia szczęśliwszym. Propozycja Różyka należała do tej samej kategorii, co główna wygrana na loterii.

Mimo tego nie potrafiłem się cieszyć.

- Nie wiem, czy dałbym radę – przyznałem. – Muszę to przemyśleć.

Dostrzegłem na jego twarzy zawód.

- Zrozum mnie, Różyk. Nie mam pojęcia, czy podołam temu wszystkiemu. Mówisz o strasznie poważn-

ych sprawach, o odpowiedzialności, od której cerberzy zwolnili mnie gdzieś na początku siedzenia. Coś w środku nakazuje mi teraz tańczyć i skakać z radości, ale ten diabeł, ten, co go tutaj szczepią z pierwszą kromką chleba, kuli się w jakimś ciemnym kącie.

- Masz zatem szansę się go pozbyć – powiedział ze zwyczajowym przekonaniem. To był ten sam Różyk, co przed laty. Kiedy się przy czymś uparł, nie istniała siła, jaka by go od tego odwiodła. – Niezbyt groźny jest diabeł, który boi się własnego cienia.

- Być może, ale wciąż pozostaje diabłem, więc nie powinien wzlatywać zbyt wysoko.

Musiał dostrzec mój opór, więc nie mówił nic więcej. Pokiwał tylko głową i pokazał na szafkę, gdzie mogłem rozpakować swoje rzeczy. Czas ku temu był już najwyższy, bo gdzieś w oddali rozbrzmiewały odgłosy dzwonków na wieczorny apel. Wiedziałem, że Różyk mi nie odpuści; jego milczenie zwiastowało jedynie przerwę, w której szykował kolejne argumenty.

Ku mojemu zdziwieniu nie wrócił już do tamtej rozmowy. Po apelu zaparzyliśmy jeszcze jedną kawę, co sprawiło, że nie spaliśmy do samego rana. Nocne godziny upłynęły nam na wspomnieniach; nie widzieliśmy się w końcu od czternastu lat, co nawet za murem wystarcza do odkurzenia starych zdjęć. Czułem jednak, na czym zależy mu najbardziej i gdzieś w okolicach piątej, gdy za oknem pokazały się pierwsze ślady nowego dnia, kiwnąłem głową.

Skwitował to jednym słowem.

- Wiedziałem.

Taki już był. Diabeł, który pozostał człowiekiem i który w innych diabłach widział przede wszystkim ludzi. Tak go wspominam dzisiaj, gdy przechadzam się wzdłuż regałów z książkami klasztornej biblioteki, gdy patrzę na obrazy, jakie mi pozostawił, w szczególności ten z samotną łódką; dowód na to, że każde zjawisko jest tylko przemijającą chwilą. W ustach diabła skazanego na dożywocie brzmi to jak bluźnierstwo, albo zwyczajna głupota, ale dzięki Różykowi nauczyłem się i tej prawdy. Jesteśmy tym, co po sobie pozostawiamy, a ja mam tę opowieść oraz nadzieję, że spotkam się ze swoim przyjacielem gdzieś poza tymi murami.

Czasami bowiem nawet wiersz, czytany na pustyni, może do kogoś trafić.

Wiersze dla Jasia, syna Różyka:

-

O LENIWYM MISIU

- rok 1998

Chyba wszystkie dzieci wiedzą,

bo to rzecz jest dobrze znana,

że niedźwiadki lubią miodek

- jeść go mogą aż do rana

Żył raz sobie miś Kudłaczek

i też lubił jeść on miodek,

lecz pracować już nie lubił,

ciągle wchodził pszczołom w szkodę

Dnia pewnego miś przesadził

łapą ul połamał cały!

To już pszczoły rozgniewało,

więc zebranie swe zwołały.

Pszczoły długo się radziły,

chciały z misiem żyć dość zgodnie,

lecz na końcu zabzyczały:

„Żyje miś ten zbyt swobodnie”

„Trzeba misia coś nauczyć

i ukarać dla przykładu”

Nie chcą pszczoły takich leniów

za swych kumów i sąsiadów

I po ciemku, tuż nad ranem

pszczoły misia odwiedziły

raczej nie by miodek przynieść

- wcześniej żądła naostrzyły

Krzyczał Kudłacz bardzo głośno,

piszczał, wołał: „Oj, ratunku!”

Lecz dla pszczół dość ważne było

by nauczyć go szacunku

Za dni parę misio przyszedł:

„Jestem temu bardzo winny,

bo nie chciałem już pracować,

a niszczyłem pracę innych”

I tak misio nasz zrozumiał,

to, co wszystkie dzieci w szkole

„Trzeba pracy, by zjeść miodek”

a nie kraść go biednej pszczole”.

-

-

-

-

-

-

-

-

-

OPOWIEŚĆ O PSOTNYM FELKU

– rok 1999

Niedaleko, w pewnej wiosce

nie za dużej i nie małej,

mieszkał Felek rudowłosy

w domku z cegły ogniotrwałej

Felek blisko miał do szkoły,

chociaż jeszcze tam nie chodził –

siedmiu lat nie skończył chłopiec,

ale całkiem sporo psocił

A to płot wymazał farbą,

kruchą szybę zbił kamieniem,

dla swej mamy oraz taty,

był ten Felek utrapieniem

Jeszcze większym był nicponiem

dla zwierzaków wszystkich wkoło,

z krzykiem ganiał je i straszył,

z czego śmiał się wciąż wesoło

Chłopiec ptactwa był postrachem

kaczek, gęsi oraz kurek,

kotów, co ganiały myszy

no i psa, co zwał się Burek

Burek mieszkał w starej budzie

z drewna zbitej tuż przy murku

do dnia, którym rudy Felek

chciał go przegnać po podwórku

Chłopiec z pieca skradł zapałki

i dość cicho jak na malca

wyszedł z domu na podwórze

wciąż skradając się na palcach

Burek psem był już dość starym,

nie tak czujnym jak w młodości

teraz drzemał w blasku słońca

śniąc o dużej, tłustej kości

Przebudzenie było przykre

Burek zerwał się ze wrzaskiem –

„Co to? Rety! Ogień wszędzie!”

Buda pali się już z trzaskiem

Wszędzie tańczą tam płomienie

ogień zżera budę całą

lecz Felkowi to nie starcza

ciągle jest mu psoty mało

Już do przodu truchtem drobi

pragnie ogon złapać psiaka,

nie dość, że podpalił budę,

chce przerazić nieboraka

Burek jednak mu ucieka

razem z domem Felka znika

w chmurze z białej mgły utkanej

cała wioska w nicość zmyka

Chłopczyk sam pozostał w bieli

patrzy w boki i do góry

nic nie widzi oprócz puchu

zimnej i ponurej chmury

Pociemniało, potem błysło

grzmot przetoczył się donośny

głos skrzekliwy dobiegł z chmury:

„Tyś jest Felek ten nieznośny”

Ty tak biegasz i swawolisz

wciąż zamęczasz psy i koty,

ale nie wiesz, że ktoś inny

również umie robić psoty

W porównaniu do twych niecnot

dam ci tylko cztery łapy,

abyś przez dni całych siedem

poznał świat jak pies kudłaty

Felek – psotnik co niemiara

śmiechem chmurę chciał zagłuszyć,

ale wkrótce chichot uwiązł

w gardle, skąd się nie mógł ruszyć

Zamiast śmiechu skamlał tylko,

piszczał, warczał, poszczekiwał,

gdy do dołu spuścił głowę

łapy przednie już podziwiał

Tylne też zobaczył wkrótce,

gdy wykonał parę skłonów

i ogonem machnął smutno,

po czym pobiegł w stronę domu

Chociaż nieco większe teraz

dobrze widział już podwórko

gnał tam więc na czterech łapach

lekki jak puchowe piórko

Lecz na skraju jego domku

Burek przegnał go szczeknięciem

„Wracaj mały tam, skądś przybiegł.

Jam tu jest prawdziwym księciem”.

Próżno Felek przekonywał

Burka piskiem i skamleniem

„Nie myśl sobie, że zapomnę

jak rzuciłeś mnie kamieniem”

Dalej kły obnażył srogie

warknął „Koniec tej przemowy.

Od dziś tutaj już nie mieszkasz

dom znajdź sobie całkiem nowy”.

Jak powiedział, tak też zrobił

kłapnął tuż nad Felka uchem

a nasz chłopczyk – piesek mały

uciekł, bo już nie był zuchem

Nie mógł mierzyć się on z Burkiem

groźnym, dużym, silnym, srogim

ruszył więc, gdzie łapy niosły,

chociaż nie znał dobrze drogi

Przygód przeżył całe mnóstwo

trudno wszystkie tu wymienić

dość wystarczy dzieciom wiedzieć,

że zdołały go odmienić

Dnia siódmego przed świtaniem,

kiedy czas się skończył kary

piesek w chłopca znów się zmienił,

bo puściły go złe czary

I obudził się w łóżeczku

w swoim starym, z cegły domu,

skąd wyślizgnął się cichutko

na dwór biegnąc po kryjomu

I do Burka nowej budy

podszedł i pochylił głowę

„Chcę przeprosić cię, mój psiaku”

- tak rozpoczął swą przemowę

„Nie wiedziałem i nie czułem

jak cierpią wszystkie zwierzaki,

których psotne figle czynią

złośliwe i złe dzieciaki”

Burek spojrzał nań nieufnie,

ale niezbyt długo zwlekał

w końcu łapę dał na zgodę:

„Pies jest druhem dla człowieka”

On wybaczy każdą krzywdę,

tak jak kury, gęsi, kaczki

koty, świnki, myszy, konie

wszelkie inne twe zwierzaczki

I w ten sposób koniec bajki

wraz z morałem dla dzieciaków

„Niechaj wszystkie od dziś wiedzą,

by nie męczyć swych zwierzaków”

BALLADA O ZIARNIE PIASKU

– rok 2000

To jest bajka: na jej czele

piasku ziarno, jakich wiele

znajdzie każdy na pustyni,

gdzie mieszkają Beduini

Alibaba ma swój skarbiec,

a wielbłądy wodę w garbie,

lecz ich bajka nie wymienia

jest o ziarnku bez imienia,

które w całej piasku chmarze

żyło niegdyś na Saharze

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

Nasze ziarnko bez imienia

(co w historii nic nie zmienia)

chciało odejść od rodziny,

dość już miało gadaniny

narzekania, ciągłych swarów,

więc uciekło się do czarów,

magia bowiem jest w pustyni,

gdzie mieszkają Beduini,

słońce wznosi się do góry,

ponad wydmy, ponad chmury.

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

Ziarnko wnet ruszyło w drogę,

rozpędziło hulajnogę,

aby z wiatrem, który hula

pomknąć jak z armaty kula,

poprzez wydmy, poprzez wzgórza,

gdzie pustynna rośnie róża,

gdzie na ścieżkach do oazy

stoją cztery czarne głazy,

tam poznało pewną hienę,

o czym zaraz wam nadmienię

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

Aby pewne mieć pojęcie,

jakim hiena jest zwierzęciem,

trzeba trochę opowiedzieć

o jej łapach, co na przedzie

dłuższe są niż te na tyle

zęby ma jak krokodyle,

i nie lubi hiena gości

nieproszonych, to ją złości

więc gdy ziarnko zobaczyła

hienią grzywę nastroszyła

i spytała grubym głosem:

„Któż próbuje pod mym nosem

przekraść się do katarakty,

gdzie pustynne wieją wiatry?”

Ziarnko, chociaż było małe

to nie bało się jej wcale,

ani zębów, ani ryków

i tak rzekło w swym głosiku:

„Jam jest ziarnko, jakich masa

po Saharze dzień w dzień hasa”

„Ziarnko?” „Piasku?”, naszej hienie

pląta język już zdziwienie:

„A dlaczego jesteś same,

gdzie masz tatę albo mamę,

gdzie są bracia twoi, siostry,

ziaren złotych tłum radosny?”

Ziarnko nasze zmarkotniało:

„W mej rodzinie ciągle wrzało,

ciągłe spory, ciągłe kłótnie

to smuciło mnie okrutnie,

więc zabrałem hulajnogę,

i ruszyłem w swoją drogę”

Zrzedła nieco hienie mina:

„Przykra, przykra to nowina,

gdy się swarzy twa rodzina,

lecz czy słuszna to przyczyna,

by uciekać tak w nieznane,

smucić tatę oraz mamę?”

Na surowe dosyć słowa

chyli się już ziarnka głowa:

„W moim domu tylko zwady,

każdy widzi cudze wady,

każdy ryczy, krzyczy, wrzeszczy,

dom od tego cały trzeszczy”

Hiena tak się zamyśliła,

że swą grzywę położyła

i nie była wcale groźna

mimo nocy, która mroźna

bywa często na pustyni,

gdzie mieszkają Beduini

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

Hiena długo rozmyślała,

noc minęła niemal cała,

zanim drgnęła jej powieka:

„Tu płynęła kiedyś rzeka,

woda czysta, wręcz źródlana

od wieczora aż do rana

biła z ziemi prądem silnym,

lecz jak widzisz niestabilnym,

a zwierzęta z lwem na czele

ciągle chciały nazbyt wiele,

dzisiaj nie ma już nikogo

wiatr jedynie pędzi drogą,

a wszystkiemu winne zwady,

kłótnie, scysje i narady,

nikt nie umiał żyć w pokoju

o pierwszeństwo wodopoju,

lecz niczego nie tłumaczy

taki wybór twój tułaczy,

jestem pewna jak to hiena,

że pustynia to nie scena,

gdzie samotna eskapada,

bez rodziny i bez stada

może służyć opowieści

prędzej zginiesz tu bez wieści,

nic nie skończy się jak w bajce,

nikt nie buchnie dymem w fajce”

i westchnęła hiena wielce,

grzebiąc w ziemi jak widelcem

swym pazurem zakrzywionym,

ma też ona bowiem szpony

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

To nie koniec opowieści,

słów się jeszcze kilka zmieści,

stanie się prawdziwy cud,

po cóż byłby hieni trud,

gdyby bajkę tutaj skrócić

ziarnko z drogi swej zawróci

i tak rzeknie nam z uśmiechem,

co nie przemknie razem z echem:

„Chyba dosyć już przygody,

w której same niewygody

trzeba mi do domu wrócić

a gdy ktoś się będzie kłócić,

dam mu hienią wtedy radę,

by zakończył wszelką swadę,

niechaj zwady, awantury

tworzą innym świat ponury”.

I jak rzekło, tak zrobiło,

w domu było bardzo miło,

bo rodzice się smucili,

gdy swe ziarnko utracili

zrozumieli, że ich kłótnie

smucą dziecko tak okrutnie,

że go mogą nie zobaczyć,

że nie zdoła im wybaczyć,

jeśli spory ich bez końca

będą świecić w blasku słońca,

albo czarnieć w nocy mroku,

trzeba czasem tego kroku,

by ucichły grzmoty burz

trzeba w zgodzie żyć i już!

Ziarno piasku, każdy powie,

nie jest dobre na opowieść

małe, żółte, jakieś drobne

do niczego niepodobne,

ziarno piasku to zbyt mało,

aby bajkę złożyć w całość

Noc się kończy i wspomnienie

słońce połknie swym promieniem

na pustyni, na Saharze,

w której, jak w krainie marzeń

nasz bohater tak malutki

przegnał precz wcześniejsze smutki,

i choć nie był on rycerzem

smokiem, który ogniem zieje,

albo strasznym, dzikim zwierzem,

co przemierza czarne knieje,

jednorożcem z srebrnym włosem,

którym ludzkim mówi głosem,

sową, kotem, alchemikiem,

z ciemnej wieży czarownikiem,

elfem, gnomem albo skrzatem,

tylko piaskiem nie piratem,

to przyznacie drogie dzieci

takiej bajki od stuleci

nie słyszały wasze uszy

niech więc prawdy tej nie skruszy

żadna kłótnia, zwada zbędna

awantura, mowa zrzędna,

bo to prawda jest i basta

miłość tylko w zgodzie wzrasta

więc zamknijcie swe oczęta

i niech każde z was pamięta

szepty wiatru wprost z pustyni,

gdzie mieszkają Beduini,

Alibaba ma swój skarbiec,

a wielbłądy wodę w garbie.

Ziarno piasku, każdy powie,

starczy dzieciom na opowieść,

bo choć małe, żółte, drobne

do niczego niepodobne,

jeśli szepty wiatru złożyć

nawet ziarnko bajkę tworzy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ido1977, dodano 19.04.2018 05:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.